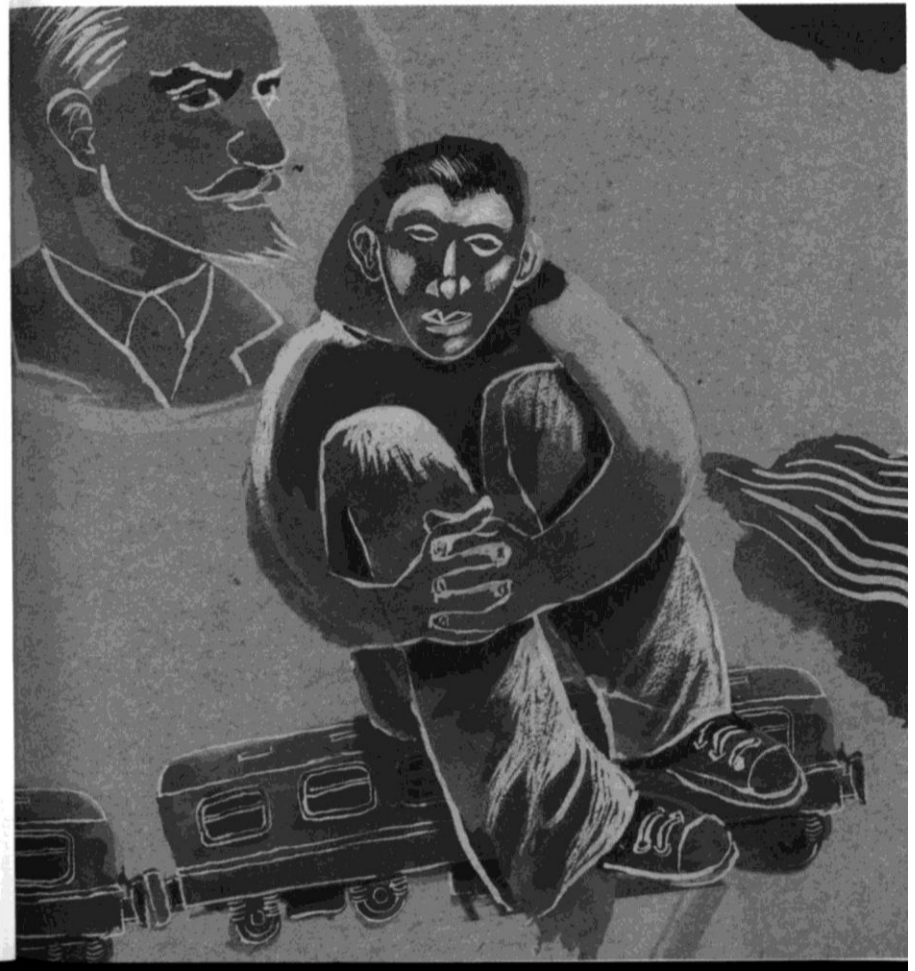


WAGON ROSJA



Natalia Kluczariowa

**WAGON ROSJA**

Przełożyła Małgorzata Buchalik

wydawnictwo- zame

**Wołowiec 2010**

Tytuł oryginału rosyjskiego ПОВЕСТИ, ОБИУМ БАИ"ОИ

Projekt okładki i stron tytułowych KAMIL TARGOSZ Zdjęcie

Autorki pochodzi z archiwum prywatnego

Copyright © 2008 by LIMBUS PRESS, ST. PETERSBURG

Copyright © for the Polish edition by WYDAWNICTWO CZARNE, 2010

Copyright © for the Polish translation by MALGORZATA BUCHALIK, 2010

The literary work was issued under the auspices of Foundation of Mikhail Prokhorov  
(TRANSCRIPT: the support programme for promotion of Russian literature and culture  
throughout the world).

**gfm** Mikhail 1

EgTu Prokhorov 1

fil Fund

**fowl** Maxanija 1

**WM** ripoxopoBa 1

Redakcja MARTA HÖFFNER

Korekty MAGDALENA KĘDZIERSKA / D2D.PL, ZUZANNA SZATANIK / D2D.PL Projekt  
typograficzny i redakcja techniczna ROBERT OLEŚ / D2D.PL

Skład MAGDALENA KĘDZIERSKA / D2D.PL

ISBN 978-83-7536-204-6

Nikita miał pewną przypadłość fizjologiczną. Często mdlał. Naturalnie, nie jak jakaś panna z powieści Turgieniewa, na widok krwi albo dlatego że ktoś przy nim zaklął, ale tak po prostu.

Czasami w środku rozmowy, czasami przez silny wiosenny wiatr albo w przypominających statki kosmiczne przejściach metra. Z zachwytu nad życiem. Z życia w zachwycie nad światem. Organizm nie wyrabiał. I sam się wyłączał. Tylko w ten sposób mógł zmusić Nikitę, żeby ten zrobił przerwę i odetchnął od ciągłego natchnienia.

Poza tym Nikitę często bolały dziwne części ciała. To znaczy takie, które nikogo nie boją. Na przykład pięta. Albo nadgarstek. Albo palec wskazujący. Ból również odrywał go od świata, ale delikatniej, pozostawiając wizję za mlecznym szkłem. A w środku pojawiała się cisza, w której cykały pasikoniki i skrzypiały cykady. Nikita słuchał cykad, uśmiechał się i patrzył na świat. Z daleka. Z innego modelu życia. A pociąg powoli sunął w stronę rozjazdu...

Nikita doszedł do siebie. Tępyimi oczami wagonu trzeciej klasy patrzył na niego kraj. Ciemię liczyło wszy na czyjejs kurtce, nogi same ciągnęły do wąskiego przedsonka, zawalonego tobołami, walizami i wózkami bagażowymi.

Kraj, miotając się i łapiąc poręczy, co chwila usiłował oblać Nikitę wrzątkiem, nakarmić suszoną rybą i domowymi bułeczkami, wysmarować rozpuszczonym cukierkiem, napoić wódką i ogrzać zszarganymi kartami, na których zamiast dam rozwalały się gołe baby.

Kraj chciał nawiązać z Nikitą kontakt. Nawiązać stosunki. Kraj nie pozwalał spać ani myśleć,- nie dawał spokoju.

Kraj ziewał, chrapał, śmierdział, jadł, pił, wlaził na górne leżanki, nadeptując czyjąś rękę, gryzł pestki słonecznika, rozwiązywał krzyżówki, drapał się po jajach, darł ryja na konduktora, który posadził go przy samym kiblu, trząsał się w łoskocie przedsionka i mówił:

„Co to za stacja?” - „Patrzcie, chłopak znowu odleciał” - „A niby nie pił” - „Pewnie narkoman” - „Teraz wszyscy tacy, jak nie igła, to klej!” - „Niech no pani nie gada od rzeczy, słabo mu się zrobiło...” - „Może lekarza?” - „Co mam nie gadać, właśnie że będę gadać! Całe życie uczciwie przepracowałam, ty mi ust nie zamykaj! Mam grupę inwalidzką!” - „Kobieto, ciszej, dzieci śpią” - „Dzieci! Podrosną i też klej będą wachać i usta starym zamykać!” - „Nie marudź, babo! Lepiej pośpiewajmy: NA POLU CZOŁGI ZARYCZA-A-A-ŁY! ŻOŁNIERZE SZLI W OSTATNI BÓJ!...”.

Nikita znów oprzytomniał i wyszedł na papierosa. Kraj zbliżał się do stacji Dno, rozkołysany na resorach i leniwie rozciągnięty wzdłuż łuku torów. Ostro zahamował i stanął pod latarnią.

- Ej, chłopie, gdzie my są?

- Na dzień! - zawołał wesoło Nikita i przepchnął się do drzwi.

Na stacji Dno było pusto i mokro. Tylko głościki gawędziły ze sobą w marsjańskim narzeczu i niewidzialni rewidenci taboru stukali w stalowe koła wagonów.

- Gdzie leziesz, zdechlaku? - spytała czułym basem kasan-drowata konduktorka. - Tylko patrzeć, jak znowu się wyko-pyrtniesz. Mam cię potem zdrapywać z torów?

Nikita uśmiechnął się do Kasandry i wzruszył ramionami. Pachniało węglem, zgniłym drewnem i drogą. Twarz pieścił mu drobny deszcz. I wszystko milczało o jakiejś tajemnicy. O której nie trzeba mówić. Bo i po co.

w głowie: nic się nie uda, już całe życie tak będzie... Nic, tylko się powiesić! A potem przeczytałam w takiej amerykańskiej książce, że proste plecy i uśmiech to przepustka do sukcesu. I teraz cokolwiek by się działo, zawsze pamiętam: uśmiechać się i nie garbić. I wszystko będzie OK!

- I jak? - zapytała delikatnie Nikita. - Działo?

- Na razie nie bardzo - wyznała szczerze Antonina Fiodorowna. - Ale grunt to nie wpadać w desperację. Przecież wiem, że kiedyś na pewno się uda!

Tonią Kisielowa wychowała się w małej górniczej osadzie Chalmer-Ju. To za Workutą, na północ, w stronę Oceanu Lodowatego, kolejką wąskotorową, która raz na tydzień łączyła kopalnię z resztą świata.

Kiedy miała siedemnaście lat, wyszła za kierowcę. Kiedy miał wolne, woził ją po tundrze rozklekotaną ciężarówką. W pracy targał ciężarówką śmieci na wysypisko. Potem urodził się Siewa. A potem zamknęli kopalnię. Ludzie nie mieli złudzeń, że ktoś się o nich zatroszczy, i zaczęli wyjeżdżać z osady.

Mężowi Toni jakoś się nie spieszyło.

W wagonie do Nikity podszedł maleńki chłopczyk. Złapał Nikitę za kolano i poważnie zapytał:

- Masz jakieś marzenie? - i, nie czekając na odpowiedź, ciągnął: - Bo ja mam: chcę wpaść w krzaki i zostać tam na zawsze!

- I tyle? - zapytał Nikita. - Nic więcej nie trzeba ci do szczęścia?

Chłopiec zamyślił się, wsuwając łapę do buzi.

- No, jeszcze chciałbym pociąg. Jechałbym nim i jechał. A potem... wpadłbym w krzaki! I został tam na zawsze!

- To wpadaj. Co ci przeszkadza? - Nikita schylił się, próbując zatrzymać chwijną uwagę dziecka.

- Skarpetki! - burknął chłopiec. Znudziło mu się i pobiegł dalej.

- Ciepłutkie skarpety, owcza wełna, za pięćdziesiąt rubli oddaję, na targu dwa razy drożej! - zapiała, przeciskając się przez wagon, kobieta z wielką kraciastą torbą. - Prawdziwa wełna, bierzcie, dziewczyny, nie pożałujecie!

Na końcu wagonu sprzedawczyni skarpet stoczyła nierówną walkę z konduktorką, której gęsty bas zagłuszył wszelkie ewentualne repliki.

- Ile wam można powtarzać! Tu nie Czerwony Krzyż! Chcesz jechać, płąć! To nie schronisko dla bezdomnych, tylko Rosyjskie! Koleje! Państwowe! No i co, że masz dzieci! Nie trzeba było rodzić! Wszystkich powysadzam! A na drugi raz wezwę milicję!

Nikita chwycił plecak i też zaczął przeciskać się do wyjścia.

Na pustym peronie spokojnie spał na torbie ze skarpetkami chłopiec, który marzył, żeby wpaść w krzaki. Ale krzaków w okolicy nie było. Tylko jakieś bezokie szopy i znikająca w mroku droga gruntowa. Drugi chłopiec, starszy, z rękami w kieszeniach sceptycznie przyglądał się skrzypiącej latarni. Kobieta z uśmiechem patrzyła na odjeżdżający pociąg. Nikicie czemuś się ten uśmiech nie spodobał.

Budynek stacji Kirżacz okazał się na głucho zabity deskami. Nikita postawił kraciastą torbę na mokrej ławce.

- Trudno, przenujemy tutaj. Bywało gorzej. Obejmujemy się i nie zamarnujemy - mówiła sprzedawczyni skarpet Antonina Fiodorowna, rozścielając na ławce foliowe torebki. - Zdejmuj, chłopcze, buty, dam ci skarpety, bo nogi sobie przeziębisz.

- Mamo, chcę herbaty! Mamo, jak zimno! Mamo, boli mnie brzuch! - chlupał starszy syn, Siewa.

- I czego marudzisz! Uśmiechaj się! Jak cię uczyłam? Wyprostuj się i uśmiechaj! Jutro będzie lepiej!

- Zawsze jutro i jutro! Jutro nie będzie nic!

- Przestań! Nawet nie próbuj tak myśleć! Ani tym bardziej mówić! Patrz, Łońka jest młodszy od ciebie, a zachowuje się jak prawdziwy mężczyzna!

Łońka beztrudno spał z dłonią podłożoną pod policzek.

- Też kiedyś byłam taka jak Siewka - powiedziała Antonina Fiodorowna. - Byle co i od razu w płacz. I zaraz bałagan

„W nic już nie wierz!” - mówił do żony. - „A czy to tak można? Żyjemy w państwie robotników i chłopów. I kim jesteśmy? Robotnikami! No to sama pomyśl: czy takie państwo porzuci nas na pastwę losu? Zostawi samych w tundrze? Nie! W żadnym razie! Zobaczysz, dadzą nam mieszkanie gdzieś na południu, a ci, co teraz uciekają jak szczury, jeszcze będą palce gryźć z zazdrości!”.

Dziewiętnastoletnia Antonina wierzyła mężowi i państwu. I zaraz po Siewie ufnie powiła Lonię.

„Głupia!” - mówili chórem jej byli sąsiedzi, kiedy wracała do Chalmer-Ju z workuckiej porodówki. Ale Tonią tylko się uśmiechała. Wiedziała przecież, że wkrótce dostaną mieszkanie z dużymi oknami, wychodzącymi na południowe morze.

W pociągu jechała sama. Ponury maszynista z dobrym, więziennym doświadczeniem nie spieszył się z powrotem. Lokomotywa dwa razy zagwizdała. Tonią odwróciła się do maszynisty.

„Słuchaj, matko. Lepiej tego. No, wyjedź stąd. Co się tak zasiedziałaś? Jeszcze dwa kursy. I amen. Zamykają linię”.

„Jak zamykają? - zdziwiła się Tonia. - A my? A kto chleb będzie przywoził? Nie mogą! Niemożliwe! Coś się panu pomyliło!”.

„Głupia” - powiedział maszynista i odjechał.

I wtedy Antonina Fiodorowna po raz pierwszy zwątpiła. Tydzień później, sama nie wiedząc po co, przytoczyła wózek z małym Lonią na stację. I patrzyła, jak rozkrzyżowana rodzina Kapielkinów pakuje swój dobytek. Maszynista, który pomagał wносить do pociągu krzynie i tobołki, spojrzął w jej stronę i od serca splunął na wieczną zmarzlinę. Po odjeździe Kapielkinów zostali w Chalmer-Ju sami.

- Mówię do męża: „Chodź, wyjeżdżamy!” a on tylko klnie jak szewc. Nawet rękę zaczął na mnie podnosić. Wcześniej nigdy mnie nie tknął, chociaż to kierowca. Albo znów leży całymi dniami twarzą do ściany i

niczym nie myślałam. Wczepiłam się w wózek i stoję. Patrzę.

on też patrzy. Z lokomotywy. Cały taki czarny na twarzy...

A w osadzie namnożyło się zdziczałych psów. Całymi stadami latały po ulicach. Ludzie je porzucili. Idę, a one za mną, biegną przy samej nodze. I ciągle jakby zaglądały do wózka. Czymś tam w nie rzucalam, warczały, odbiegały, ale tylko kawałek.

No i stoję koło tego pociągu. I nagle psy zaczęły wyc. Odwróciłam się, a one patrzą prosto na mnie, wszystkie. To ja do wagonu. Maszynista wyleciał, pomaga wnieść wózek i mówi: „No, całe szczęście, całe szczęście...”.

I zaraz odjechał, żebym się nie rozmyśliła.

Potem w Wokucie jakiś czas mieszkaliśmy u niego. Opowiedział mi, za co go posadzili. Też dobra historia. Pochodził spod Wołogdy. Pierwszy sekretarz wymroził u nich osadę. No tak. Kotłownia się zepsuła, a pieniądze na remont zachach-męcił. Przyszły mrozy, ludzie do niego, a on: „Tak-tak-tak, wszystko pod kontrolą, tak-tak-tak, naprawimy!”.

No i córeczka tego maszynisty, Nikołaja, złapała w przedszkolu zapalenie płuc. I umarła. Poszedł do sekretarza. Ledwie otworzył drzwi do gabinetu, sekretarz do niego: „Tak-tak-tak...” - i tyle. Nic więcej nie powiedział. Nikołaj zastrzelił go z wiatrówki, długo musiał strzelać. Potem usiadł i czekał na milicję.

- A potem? - spytał cicho Nikita, bo Antonina Fiodorowna zamilkła. I zaraz zauważył, że kobieta śpi. Ciągłe uśmiechnięta. Z prostymi plecami.

Obok przetaczał się wolno pociąg towarowy. Krągłe boki cystern pełzły jak nosorożce albo hipopotamy, uparcie ciągnące dokądś w poszukiwaniu szczęścia.

Rano Nikita kupił od Antoniny Fiodorowny wełniane skarpety, w których spał.

12

- I znaleźliście go? - Nikita siedział na peronie, oparty o ścianę stacji, i z całych sił starał się nie zemdleć.

- Nie wiem. Nikogo tam nie było. Drzwi otwarte na oścież. W mieszkaniu posprzątane. Nawet garnek odszorował, ten zakopcony... Obeszliśmy całą osadę, zajrzeliśmy do każdego domu. Nikt przecież nie zamykał, jak ludzie wyjeżdżali. Poszliśmy do kopalni. Ale nie znaleźliśmy nikogo. To znaczy ja nikogo, a Nikołaj niczego. Bo on szukał trupa, a ja żywego męża. I psy gdzieś zniknęły. Taka cisza, że nawet szeptem strach mówić.

Wróciliśmy. Ale tam, w osadzie, ciągle zdawało mi się, że on na mnie patrzy. Czulałam spojrzenie na plecach. Odwracałam się - pusto. Do tej pory czuję to spojrzenie. Teraz on już zawsze na mnie patrzy...

- A dlaczego maszynista puścił panią z dziećmi sprzedawać skarpety?

- E tam, sama uciekłam. Nakłamałam, że niby jadę do siostry na Kubań, że pracę mi tam znaleźli i nawet własny dom...

I pojechałam, dokąd oczy poniosą. A siostry nigdy nie miałam.

8

milczy. Albo zaśnie i jak zazgrzyta zębami! W tej głuchej ciszy... Strasznie było, strasznie...

Jedliśmy kaszę gryczaną. Nieomaszczoną. Nic więcej nie zostało. Rozpalałam na podwórku ognisko i gotowałam. Prąd nam wyłączyli. I gaz. Ugotuję, postawię mu garnek koło łóżka, garnek cały czarny od sadzy. A stół porąbałam na opał.

Postawię, biorę dzieci na ręce i idę płakać. Chodziłam płakać do kina, gdzie poznaliśmy się z mężem. Codziennie. Płacę, szlocham. Siewka słucha i też pochlipuje. Łońka budzi się w wózku i w krzyk. I tak płakaliśmy we trójkę.

A potem przyjechał ostatni pociąg. Stałam z dziećmi na stacji. Przyszłam popatrzeć na żywego człowieka, nic więcej.

- Widzisz, Siewka, mówiłam, że dzisiaj nam się uda, a ty nie wierzyłeś! - przygadywała kobieta starszemu synowi, kupując chleb i mleko skondensowane w osmalonym kiosku, z którego miesiąc wcześniej podpici miejscowi usiłowali wykurzyć sprzedawcę, bo nie chciał dać im wódki za darmo.

Łońka pożegnał się z pobliskim krzakiem, podając mu rękę i serdecznie potrząsając gałęzią. Ponury Siewka gryzł chleb, odwrócony plecami. Antonina Fiodorowna namawiała sprzedawcę z kiosku na zakup „wspaniałych wełnianych skarpet”.

- A potem też zaczęłam wariować - dalszy ciąg historii Nikita usłyszał wieczorem, kiedy niezmordowana Antonina Kieselowa obeszła już cały Kirzacz, sprzedała wszystkie skarpety i czekała na wieczorny pociąg. - Ciągłe mi się zdawało, że mąż mnie wzywa z powrotem. Wypomina, że go porzuciłam. Wyraźnie słyszałam go w głowie. I zaczęłam rozmawiać z nim na głos.

„Kola” - mówię (bo on też miał na imię Nikołaj) - „Przecież bałam się nie o siebie, tylko o dzieci, Kola!”.

Chciałam iść do niego na piechotę. Zabrać go stamtąd. Albo przynajmniej zawieźć mu jedzenie. Nikołaj, maszynista, zaczął zamykać mnie na klucz.

„Głupia! - krzyczał. - Z niego już nic nie będzie, a ty musisz się trzymać, masz dzieci!”.

A ja do niego:

„I tak ucieknę!”.

I po paru dniach nie wytrzymałam. Sama się zdziwiłam. W tajemnicy przed kierownictwem wsadził mnie w nocy do lokomotywy i pojechaliśmy do Chalmer-Ju, szukać mojego Nikołaja. Wystraszyłam się, mówię: „Może daj spokój, wracaj? Może dojdę na piechotę? Znowu cię za to posadzą!”. Tylko machnęła ręką.

13

- Ale dlaczego?

- Rodzice nie zdążyli, wcześniej zmarli. Ojciec zginął w kopalni, a mama rok później poszła za nim.

- Nie pytam o siostrę. O maszynistę.

- Aaa, maszynista... Wymyślił sobie, że się we mnie zakocha. A mnie było nie do miłości, moje serce zostało w pustej osadzie. Szkoda mi było człowieka. Bo to był dobry człowiek. No to uciekłam. Jak mnie odprowadzał, raptem zaczął mówić o żonie. Też miała na imię Tonia. Zbieg okoliczności: dwaj Nikołaje i dwie Antoniny...

- I co z tą żoną?

- Przez cały proces świetnie się trzymała. A jak sąd wydał wyrok, tego samego dnia skończyła ze sobą. Powiesiła się.

Dopiero po roku mu powiedzieli. Bo przed śmiercią napisała do niego tuzin listów. Takich ciepłych, że niby wszystko w porządku, żyję sobie i czekam, w osadzie jest już ogrzewanie... •Sąsiadka wysyłała mi potem te listy co miesiąc, dopóki się nie skończyły. O, jest nasz pociąg...

5

Junkier znowu pił drogie włoskie wino. Wytrawne. Czerwone. Junkier znowu słuchał Schuberta. Brakowało tylko świec i białej jedwabnej koszuli ze sztywnym kołnierzykiem. Junkier, jak przystało na rosyjskiego szlachcica, rozprawiał o losach ojczyzny. Nikitę bolało kolano. Było mu smutno.

- I gdzie ty tak w kółko jeździsz? Czego szukasz? Rosji, którą straciliśmy? - pytał Junkier, nalewając wino.

- Rosji... - powtórzył jak echo Nikita.

- Żeby potem siedzieć na emigracji i słuchać, jak żona Ka-tiuszka śpiewa w salonie duszoszczypatelne romanse, i pisać powieść *Zajebiste czasy*<sup>7</sup>.

- Wiesz przecież, że nie wyjadę.

- To głupio. Ropy zostało nam w kraju na jakieś osiem lat. Potem koniec. Od upadku Związku Radzieckiego nikt nie szuka nowych złóż. Co mamy tutaj robić?

- Życ.

- Raczej starać się przeżyć. A ja tak nie chcę. Lubię dobre wino, dobrą muzykę, czytam teraz pamiętniki Richtera...

Junkier był sybarytą i estetą. Pewnie nigdy by się nie zaprzyjaźnili, gdyby przy wszystkim tym nie był też dobrym człowiekiem. Chociaż „dobrym” to źle powiedziane. Nikita długo łamał sobie głowę, aż wreszcie odkopał w pamięci właściwe słowo, które dotąd odnosił wyłącznie do psów. Junkier był *rasowy*.

Żył w świecie, który umarł sto lat temu. W świecie, w którym istniały „honor”, „sumienie” i „godność”. Dość długo Junkier zdawał się Nikicie doskonały. W jego słowach i czynach nie było powszechnej ludzkiej zgnilizny: obiecać i nie dotrzymać, schrzanić coś, a potem chować głowę w piasek i wypinać na świat dupę z tabliczką: „To nie ja. Tak już było”.

Kiedyś Junkier przesadził z dobrym winem i przedstawił Nikicie plany łajdackich akcji dywersyjnych, skierowanych przeciwko drobnym, ale ohydnie leniwym urzędnikom. Dodał też wizje porywania ministrów i organizacji puczu wojskowego, ale raptem teatralnie zawiesił głos i poszedł odkorkować następną butelkę.

Tegoż dnia Nikita zauważył na jego biurku, obok pamiętników Richtera, wspomnienia estety-terrorysty Borysa Sawin-kowa. I uśmiechnął się ze zrozumieniem. Mimo że Sawinkow z jego nadludzkiem snobizmem i arystokratycznym chłodem nigdy nie był mu specjalnie bliski. W odróżnieniu od nabożnego Iwana Kalajewa, który jedną ręką się żegnał, a w drugiej trzymał bombę. I na jezuickie prowokacje ateisty Sawinkowa: „A nie zabijaj, Wania? Pójdiesz zabijać?” odpowiadał: „Nie mogę nie iść, bo kocham”.

Jedną z rozmów Nikita zapamiętał na całe życie. Junkier mówił o bitwie na Kulikowym Polu. Mówił z taką ekspresją, jakby opowiadał nie o księciu, żyjącym siedem wieków temu, a o samym sobie. I jakby to wszystko wydarzyło się wczoraj. Albo nawet dzisiaj. Przed chwilą.

- Przecież to była ostatnia próba. Ostatnia! Z góry skazana na niepowodzenie. I ty, nieopierzony młodzieńcze, ty, który nie wierzysz w siebie, zwolujesz lud ze zwaśnionych księstw, które już zapomniały, co znaczy słowo „Rus”. I aż do końca nie wiesz, czy ktokolwiek się stawi. Ale stawiają się wszyscy. I wtedy przytłacza cię odpowiedzialność. Rozumiesz, że to Historia. Że teraz albo nigdy. I

rozkazujesz im, żeby przeszli rzekę. Po co? Przecież znacznie prościej byłoby zostać i bronić przeprawy. Więc po co? Żeby odciąć sobie drogę ucieczki. Zwycięstwo albo śmierć. Nic więcej. A potem poświęcasz swoją najlepszą drużynę. Bo tylko tak możesz wygrać. Wysyłasz ją na pewną śmierć. Swoich przyjaciół. Defilują przed tobą. Mówisz: „Zwyciężymy!” ale wiesz, dobrze wiesz, że wszyscy zginą. Wszyscy. I że to nie był twój wybór. Ktoś musiał go dokonać i padło na ciebie...

Junkier zaniósł się kaszlem, a Nikita zniechęca pomyślał, że właśnie ta chwila już zawsze będzie dla niego Rosją. Jeżeli kiedyś trafi gdzieś daleko stąd. Albo może nawet po śmierci. Będzie wspominał nie brzoźki i kalinki czy jakieś marsze wojskowe, ale Junkra, który opowiada o Dymitrze Dońskim jak o samym sobie.

- Ty się w nim zakochałeś! - śmiała się dorosła dziewczynka Ala, kiedy Nikita opowiadał jej o Junkrze. A potem tradycyjnie udzielała Nikicie zbawiennych rad: - Uważaj z tą szczerością. To podejrzany faciec. Ścichapek. Jeszcze wciągnie cię w jakąś awanturę, a potem podsunie pod nos kwity<sup>18b</sup>.

Nikita nie zaprzeczał. Ale też nie zwątpił w Junkra ani na sekundę. Nikita pił zieloną herbatę i posłusznie wdychał „wspomagający regenerację aury” dym kadzidełek, jakim raczyła go Ala. Z Alą nie należało dyskutować. Los nauczył Alę, że życie jest, jakie jest.

Kiedyś, w „zaprzyszłym życiu”, mieszkała w Odessie.

„Potem ojczym zaczął mnie regularnie gwałcić - opowiadała lekko i spokojnie Ala, nalewając zielonej herbaty - i uciekłam do Petersburga, do Pitra”.

W Pitrze Ala studiowała reżyserię. Jak to mówią, „wrócono jej wspaniałą przyszłość”. Dopóki jednak przyszłość nie nadeszła, Ala z radością eksplorowała teraźniejszość. Cyganeria, zarwane noce i pokój w akademiku, przerobiony na skłot.

Historia z drugiego życia Ali. Jedna z tych, które opowiadała lekko i spokojnie, jakby mimochodem. Nikita odpadał przy takich opowieściach.

- Akurat wtedy wyszła płyta Pink Floyd *Division Bell*. Leżeliśmy z moim kumpłem malarzem na podłodze u niego w domu, po ciemku, piliśmy piwo, palili haszysz i słuchali. Potem kumpel nagle zaczął się do mnie przystawiać, pewnie muzyka go tak nastroiła, a ja nie lubię brodatych facetów, strzeliłam focha, macki precz, i zaczęłam zbierać się do domu. Było już późno, chciał mnie odprowadzić, ale się nie zgodziłam, musiałam odegrać do końca rolę obrażonej królowej. Jadę tramwajem, patrzę, a tu gapi się na mnie jakiś maniak z teczką. Oho, myślę, gwałciciel. I faktycznie! Wysiadł za mną, zaciągnął do bramy i zgwałcił. Od tej pory nie lubię *Division Bell*. Bo ten maniak nie miał wprawdzie brody, ale był jeszcze paskudniejszy od malarza. Jakiś taki zapluty.

W Pitrze Ala zakochała się na zabój. I nawet wyszła za mąż. A następnego dnia po ślubie mąż zniknął bez śladu. Bity rok szukali go po całym świecie. Ala tuż przed dyplomem wyleciała ze studiów i zaczęła siwieć. A była brunetką. Więc siwizna bardzo rzucała się w oczy.

Po roku męża namierzono gdzieś w Omsku. Żył tam sobie szczęśliwie z żoną i dwójką dzieci. Namiary były mętne i nie wystarczyły, żeby dorwać drania i skłonić choćby do rozwodu. Toteż Ala nadal ma pieczęć w dowodzie. Do dzisiaj.

Tego dnia, kiedy znajoma znajomych przyniosła wieść o zaginionym mężu, siwa dziewczynka Ala zderzyła się na schodach akademika z niepozornym chłopakiem w grubych okularach.

„Zabierz mnie stąd, dokąd chcesz, byle gdzieś daleko. Wymyśl mi nowe imię i życiorys. Zamieszkamy razem. Ale nigdy nie będę cię kochała. Taki twój los. Chyba masz odwagę się z nim zmierzyć?” - zapytała Ala w przypiływie królewskiej rozpacz.

I ciapowaty Alosza, który nigdy wcześniej nie dotknął kobiety, zebrał się w sobie i wywiózł Alę do miasteczka

Podolska. Tam zaczęło się trzecie życie Ali, przechrzczonej na Jelenę.

Nie wychodziła z domu. Alosza okazał się nie tylko odważnym chłopakiem, ale też genialnym programistą, całe dnie spędzał w pracy. A Jelena Pustelniczka piła zieloną herbatę, wyszywała złotogłowiec, czytała *Tybetańską księgę umarłych* i paliła kadzidelka.

„Zaczęłam robić to, czego całe życie nienawidziłam, przestałam to, co całe życie kochałam. I nawet mi się spodobało!” - podsumowała niegdysiejsza Ala swoją ówczesną hipostazę.

Przestała pić, palić, ćpać, „rznąć wszystko, co ładne”, kręcić filmy, szlajać się po nocach, prowokować, śmiać się, stroić, kłąć, pisać scenariusze i słuchać muzyki.

Hordy przyjaciół, kochanków, wielbicieli, kumpli i kolegów „z dawnego życia” Ala posłała do diabła. W ostrych słowach. Po czym hordy nie tylko „raz i na zawsze dały jej święty spokój”, ale wręcz pogrzebały wszelkie wspomnienia o odeskiej pannie z trudnym charakterem. Co nie było proste. Bo Ala należała do osób, które trudno zapomnieć.

Pewnego paskudnego jesiennego dnia w wyniku nieprzewidywalnego zawirowania rzeczywistości Jelena, która nigdy nie wstawała przed zmrokiem, obudziła się o siódmej rano, uczesała i porzuciła podolską pustelnię. Po królewsku ignorując nieme osłupienie Aloszy, szamiącego akurat zimny ryż na śniadanie.

Ala kupiła w pobliskim kiosku butelkę wina Anapa i czule uśmiechnęła się do siebie. Na peron wkroczyła pięć minut przed odjazdem pociągu i sekundę przed tym, jak Nikita utopił peta w kałuży i odwrócił się, żeby wsiąść do wagonu i raz na zawsze opuścić piękne miasteczko Podolsk.

- Ej, ty, dokąd jedziesz? - spytała siwa dziewczynka, roz-smarowując Nikitę wzrokiem na stopniach wagonu.

- Miałem tutaj przesiadkę. Jadę dalej - odpowiedział nerwowo Nikita. Ale szedł z powrotem na peron.

Ala prychnęła:

- Dalej! Patrzcie, jaka bezczelność! Przyjechałeś tu do mnie! Mógłbyś z takiej okazji przynajmniej buty wyczyścić i zachowywać się trochę uprzejmie! Idziemy!

Tu zamachała butelką wina i zdecydowanym krokiem ruszyła do wyjścia z peronu.

- Proszę zaczekać, tylko wezmę plecak! - zawołał kompletnie zdezorientowany Nikita.

Dziewczyna błyskawicznie odwróciła się i zmierzyła chama spojrzeniem, które, jak mawiała w „dawnym życiu”: „w lepszym wypadku zabija delikwenta na miejscu, w gorszym robi z niego impotent”. Ale potem wybuchnęła śmiechem (czego też nie robiła od czasów dawnego życia) i znów przyjaźnie pomachała butelką:

- Na „pan, pani” z tobą nie przechodziłam, matolku. Śmigaj po swoje bambetle!

Anapę rozpili na kładce nad torami. Po czym Ala wesoło rzygała na przejeżdżające pod nimi pociągi i wyjaśniała:

- To szok tlenowy, rok nie wychodziłam z domu.

- I na ruinach despotyzmu wyrzycie lud nasze imiona! Demokratyczna partia więźniów politycznych Rosji! - głęboką nocą Ala deklamowała Puszkina, zwracając się już to do Nikity, już to do omszałego Lenina, ponuro sterczącego na obgryzionym cokole. Koło pomnika przyhamował milicyjny gazik.

- Ho, ho, ho! - zarechotała Ala przez rozczochrane jak u wiedźmy siwe loki. - Dawno już nie zwijali mnie na dołek! Ho, ho, ho!!!

Nikitę od gromkiego „ho, ho, ho!” przeszedł zimny dreszcz. Nawet Iljicz, niby otrząskany ze światem, miał niewyraźną minę. Z samochodu wysiadł Alosza, wziął Alę za rękę i cicho powiedział:

- Chodź, jedziemy do domu...

- Ach, mój rycerzu błady, bez skazy i pomady - odrzekła Ala, po czym zwała się na asfalt i natychmiast zasnęła.

Do domu uciekinierkę odwiózł radiowóz. Alosza całą drogę milczał, płakał i uśmiechał się przez łzy, patrząc na rozmazane plamy latarni. Okulary gdzieś zgubił, biegając po Podolsku w poszukiwaniu swojego swawolnego losu.

5

- Nie mogę spać! Głowa mi się pali! Pożary zamiast włosów! Każdy w inną stronę! Pięk-nie! - kwiczała w słuchawkę Jasia. Była czwarta nad ranem. Jasia dzwoniła skądś spod Paryża.

„Kokaina, wino, albo po prostu Francja” - pomyślał Nikita. Zresztą wszystko jedno. Za każdym jej zdaniem zawsze przeżył się wykrzyknik. Niezależnie od okoliczności przyrody.

Odchodziła od wszystkich, którzy ją kochali. A kochało ją wielu. Ale Nikita nie mógł się powstrzymać. Minęły już trzy lata. Został jej najlepszym przyjacielem. Ze stoickim spokojem wysłuchiwał narzekania na nowych kochanków oraz na chamstwo i bezczelność producentów, a także zachwyty nad *Niewidzialnymi potworami* Chucka Palahniuka - „jakby pisał to nie jakiś parszywy Jankes, ale ja, ja sama!”.

Można powiedzieć, że wychowali się razem. W najważniejszym okresie życia - od siedemnastki do dziewiętnastki - byli nierozłączni. Dlatego Nikicie często zdawało się, że Jasia jest jego siostrą. A siostry nie da się z siebie wyrzucić. Zresztą nie próbował. Pewnie tak miało być.

Pierwszy rok po odejściu Jasi (z właściwą sobie egzaltacją nazywała to nie inaczej jak „zdradą”) był dla Nikity prawdziwym

„sezonem w piekle”. Jasia wyjechała do Szwajcarii. Nikita na całe życie znienawidził ten przytulny, neutralny kraj, szlachetnie obojętny na wszelkie wojny i polityczne klęski, łącznie ze swoją własną. Jasia jeździła na nartach i pracowała w galerii nowego kochanka, który mógłby być ojcem ich obojga. Od czasu do czasu Nikita dostawał rozpaczliwe jednozdaniowe maile: „Write me something!!!!!!!”. Jasia udawała, że zapomniała rosyjski. Na maile nie odpowiadała. Nie znajdował słów.

Potem Jasia wróciła do Rosji. W drogich ciuchach, ze śnieżnobiałym uśmiechem i szaleństwem w oczach. Spotkali się u jej koleżanki z roku. Jasia gadała jak nakręcona, bała się zamilknąć. Głupiutka, sympatyczna Anieczka z odstającymi uszami, rok w rok bez skutku wychodząca za mąż, z zachwytem kibicowała, wstawiając ochy i achy.

A Nikita położył się za ich plecami na kanapie, wtulił twarz w obcą Jasię, pachnącą nieznanymi perfumami, i pierwszy raz beztrudnie zasnął w swoim piekle. Wcześniej zasypiał tylko, kiedy był mocno pijany. Albo kiedy najadł się środków uspokajających. Albo w ogóle nie spał, do bólu w oczach wpatrując się w ich fotografie z dzieciństwa, w błysk szczęścia w jej spojrzeniu podczas tamtych dwu lat.

Od jej ciała posłusznego już innym dłoniom, obciążonego nowymi dżinsami, przez warstwy obcych zapachów i ruchów napływała fala bliskości, słodka obietnica bezpieczeństwa, i wszystko nagle wróciło na swoje miejsce. Nikita po raz pierwszy rozluźnił się i zasnął uśmiechnięty.

Obudziły go jakiś kosmiczny strach i samotność, ssące pod łopatką. Zanim otworzył oczy, już wiedział, że nie ma przy nim Jasi. Świat znowu

rozpadł się na kawałki, zmienił w piekło i pogrążył w chaosie. Senna Anieczka zmywała naczynia. >Zostań, już noc, śpij" - powiedziała przepraszająco. Nikita gorączkowo sznurował buty. „Dokąd ona poszła? Gdzie mam jej szukać?”. Anieczka nie wiedziała. Śledziła życie przyjaciółki jak kometę: z daleka i z otwartymi ustami. Nie umiała wyliczać trajektorii.

Nikita znalazł Jasię dopiero nazajutrz. Usiedli na żółtej ławce i milczeli, każde na swój temat. Jasia piła, desperacko i wściekle. Nikita patrzył w kałużę. Było zimno. Nagle Jasia wybuchła. Przechodnie odwracali się i przyspieszali kroku. Jasia wrzeszczała.

- Twoja Rosja, nie ma żadnej Rosji! Jedna wielka ścierna! Nie chcę o tym myśleć! Mam w głębokiej dupie twoje głodne dzieci i biedne staruszki! Chrzanię! Niech zdychają! Chcę być szczęśliwa! Zostaw mnie w spokoju! Przystań na mnie patrzeć! Tak, zdradziłam! Zdradziłam! Zdradziłam! Możesz mnie zabić! Tylko na mnie nie patrz! Nie patrz tak na mnie!

Tu Jasia zawyla nieludzkim głosem i rzuciła się do ucieczki. Następnego dnia Nikita nie mógł się do niej dodzwonić. A jeszcze następnego spotkał na przystanku Anieczkę. Anieczka powiedziała, że Jasia wróciła do Szwajcarii.

Po hysterii na żółtej ławce „sezon w piekle” wkroczył w nową fazę. Z tęsknoty i przerażenia Nikita popadł w martwą obojętność. Jakby oglądał życie w zepsutym czarno-białym telewizorze. Ciągi płaskich obrazów, zero reakcji i emocji.

Potem nauczył się żyć w świecie bez Jasi. Wyjechał z ich rodzinnego miasta do Moskwy. Znow zaczął czuć zapachy, słyszeć dźwięki i uśmiechać się do ludzi. Nikita dobrze wiedział, że kiedyś ta krucha równowaga rozsypie się jak domek z kart, wystarczy jedno dotknięcie maleńkiej ręki z ostrymi paznokciami, pomalowanymi na wszystkie kolory tęczy.

Ale na razie miłość przestała być bólem. I stała się bezpiecznym wspomnieniem. Które można było bez końca oglądać, przewijać i znowu oglądać. Znowu oboje mieli po siedemnaście lat.

Jasia regularnie wdzierala się w jego życie. Telefonami o czwartej nad ranem. Skandalami, z których musiał ją wyciągać. A potem długo poić wódką i głaskać po rudych włosach, sterczących na wszystkie strony. Jasia często przyjeżdżała w gości i niewinnie spała z Nikitą w jednym łóżku. I tak jak kiedyś spychała go na podłogę. Znał szczegóły wszystkich jej romansów. Bogaci i nudni mężczyźni Jasi nienawidzili go przez wieczne opowieści, jak to „kiedyś z Nikitą...”.

Było im dobrze we dwoje, jak dawniej. Ale kiedy Jasia zniknęła, świat trwał nadal. Nikita nauczył się robić uniki. Nawet jej kariera modelki porno i pęki zdjęć, które z dumą pokazywała mu w przejściu metra. Nawet to już go nie bolało. Po prostu starał się nie myśleć. Nie werbalizować. Nie nazywać. Nazwać spróbował któregoś razu Junkier, dotąd w milczeniu śledzący rozwój wydarzeń.

- Jak ona to tłumaczy? Niespokojna dusza? Zagubienie? Aha, panna demolka! Czy ty nie masz oczu? Ona się przecież sprzedaje! Pięknie i drogo. I tak naprawdę ma „w głębokiej dupie” i ciebie, i wszystko, czym żyjesz!

- Zaraz cię uderzę - powiedział cicho Nikita. Nigdy więcej nie mówili o Jasi.

Siedemnastoletnia Jasia idzie przez wesołe miasteczko. Włosy ma pofarbowane na niebiesko i natapirowane. W prawej ręce tani papieros. A na lewej, na czarnej rękawiczce, dwie zabawne dziurki. Na wskazującym palcu i na dużym. Jasia uwielbia te dziurki. Fantastycznie pokazuje się z nimi „fuck” i „victory”. To jej ulubione gesty.

Jasia śpiewa na całe gardło *Alabama song*. Urwała się z seminarium o *Powieści o Piotrze i Fiewronii*, a Nikita z zaliczenia z historii Rzymu. Nikita właśnie pozbiarał z podestu do tańców resztki dekoracji jakiegoś letniego święta. Teraz wciska kolorowe mokre szmatki w kwadratowe otwory drucianej siatki, otaczającej podest. Powstaje napis „JASIA”.

Jasia zabiera Nikicie resztkę szmatek. Próbuje napisać „kocha”. Starcza tylko na „KO”. Przybiega zaspany dozorca.

- Gdzie tu wleźliście, łobuzy! Zaraz zawołam milicję! - krzyczy zza ogrodzenia.

- Oh, show me the way to the next whisky bar! - odkrzykuje mu Jasia.  
- We don't understand you! We are from Chicago!

Uciekają i idą na zajęcia Jasi. To wykład profesora-post-modernisty Jermołowa o Saszy Sokołowie. Lubią Jermołowa, kiedy subtelnie nabija się z głupich studentów, lubią Saszę Sokołowa, którego czytali sobie na głos w zatłoczonych tramwajach w drodze na uniwersytet.

- Szmatki! - mówi konspiracyjnie Jasia, kładąc głowę na zeszyte Nikity, co przeszkadza mu notować uwagi o Saszy Sokołowie.

- Szmatki! - znaczy od tej pory: „Kocham”.

Sasza Sokołów wyjeżdża do Kanady. Jasia donikąd się nie wybiera.

Wybiera się po zajęciach do biblioteki, poczytać wielki zakurzony tom *Mity narodów świata*. Potem będzie się długo całować z Nikitą w męskiej toalecie, gdzie palili i opowiadali sobie świeżo przeczytane książki. A potem słuchać Paganiniego w zlepionych taśmą klejącą słuchawkach w księgarni muzycznej i pisać list do Nikity, który siedzi obok i jedną ręką maca jej pierś pod swetrem, a drugą też pisze list, do niej, zazdrosny o Paganiniego. A potem będą jeździć tramwajami. Albo pożyczą od kogoś kasę, kupią tanie wino i wzniosą w jakiejś bramie toast za Amenhotepa Czwartego.

- A potem weźmiemy ślub i wyjedziemy do Meksyku! I będziemy napadać na banki, jak Bonnie i Clyde, a pieniądze oddawać biednym chłopom, którzy uprawiają fasolę i śpiewają tango - mówi siedemnastoletnia Jasia. - Ty będziesz miał wielki kapelusz i czarne wąsy, a ja zapuszczę długie włosy i będę tańczyła boso na zakurzonej drodze, w koralach i barwnych spódnicach, a potem...

A potem dorośli.

We wsi o wyrafinowanej nazwie Dudki Nikitę wyrzucono z pociągu.

Razem z nim konduktor wysadził stado brudnych dzieciaków i pijanego karka w spodniach od dresu. Dzieciaki natychmiast gdzieś zniknęły (pewnie wlażyły do innego wagonu), a sportowiec, mocno chwiejąc się na nogach, powiedział konduktorowi, co następuje:

- Bracie! Słuchaj no, bracie! Brat bratu tak nie robi! Ziemia jest, bracie, okrągła! - tu wznosił palec do nieba i ekspresyjnie potrząsnął nim w wieczornym powietrzu. - I twoje zło wróci do ciebie! I dziobnie cię w dupę, bracie!



Konduktor milczał z wyższością i pluł łuskami słonecznika, usiłując trafić w adidas karka. Pociąg zagwizdał i odjechał. Nikita poszedł sprawdzić rozkład. Na drewnianej ścianie stacji wisiało jedno jedyne słowo: „DUDKI”. Nikita uśmiechnął się kącikiem ust.

- Zabawne, prawda? A wie pan, jak my się męczymy przez tę nazwę? - warknął chłopak z hiszpańską bródką. Też właśnie wysiadł z pociągu.

- Dlaczego?

- Wie pan, jak to jest prosić o coś w urzędach, a my mamy podwójnie przechłapano. Patrzy taki urzędnik w papiery, widzi nazwę wsi, uśmiecha się i od razu: „Aaa, Dudki, pewnie chcecie dutki! Na naprawę płotu? Na traktor do śmieciarki? Ni dudu! Po co wam nowy lekarz - i tak was wystrychnie na dudka!”.

W ten sposób Nikita poznał nauczyciela geografii i zarazem bojownika o godne życie w Dudkach, Aleksandra Agadża-nowa. Aleksander miał lat dwadzieścia trzy i było mu głupio, kiedy ktoś zwracał się do niego po nazwisku.

W Dudkach wszyscy, od dzieci po starców, nawet uczniowie (za plecami, oczywiście) tytułowali Aleksandra Szaleńcem Bożym Saszką. Reputacji szaleńca bożego dorobił się Sasza przed dwoma laty, kiedy to wrócił z Akademii Pedagogicznej w Jarosławiu do ojczystych Dudków i zrozumiał całą groźbę ich sytuacji.

- Jeżeli ma pan czas - Nikita zawsze miał czas - oprowadzę pana po naszym»getcie. Żyjemy tu na bakteriologicznym Wezuwiuszu. Proszę się nie śmiać! Wieś Dudki to bomba, straszniejsza niż cała Al-Kaida!

Wyższe wykształcenie odcisnęło ślad na języku Saszy. Lubił metafory.

Wieś Dudki zbudowano wokół szpitala dla gruźlików. Czas i dziki kapitalizm nadgryzły betonowe ogrodzenie, izolujące zdrową sól tej ziemi od pacjentów szpitala. Chorzy wylali się do wsi. Ogolone głowy i wytatuowane ramiona zakłębiły się wokół sennych miejscowych ślicznotek. Ślicznotki zaczęły pokasły-wać i pić do upadłego z milkiwymi rozsądnymi zarazy.

Życie i śmierć we wsi Dudki weszły w archaiczną symbiozę. Niedysyjszą kostnicę z jedyną w okolicy lodówką przerobiono na sklep spożywczy. Trupy wywożono busem do sąsiedniej wsi. Z powrotem bus przywoził produkty spożywcze dla sklepu.

We wsi Dudki było też wysypisko śmieci. Na pięknym brzegu Wołgi. Na wysypisku latorośle sennych ślicznotek i pacjentów szpitala dla gruźlików bawiły się kropłówkami i strzykawkami.

- Według przepisów to wszystko powinno się palić! - ryczał Sasza Agadżanow, jedyny mieszkaniec wsi, odcinający się od powszechnego fatalizmu. - Tam jest krew! Wszystko zainfekowane! Legiony pałeczek Kocha! Nie mówię już nawet o dzieciach, ale przy większych deszczach wszystko to spłynie do Wołgi! Katastrofa na parę obwodów! To jest dywersja! To jest gruźliczy Czarnobył!

Nikita poczuł, jak wszechobecna zaraza przesącza się przez podeszwy jego butów i chciwie wgrzyza w organizm. Szczególnie poruszyły go „legiony pałeczek Kocha”. Wybijały równy marszowy krok na krzywych ulicach Dudków i kpiąco salutowały przed samotną trybuną, zastygłą na szczycie wysypiska w pozie antycznej rozpaczy.

A tak naprawdę w Dudkach było spokojnie. Odjechana panna w malinowej kurtce wlokła obok wysypiska zasmarkanego brzdąca. Zobaczyła, że dzieciak ubrudził się cukierkiem, kucnęła, zacerpnęła wody z kałuży i zaczęła szorować mu pyszczek.

- Czy pani oszalała?! Przecież w tym są odpady medyczne! -Agadżanow doskoczył do troskliwej matki.

- Sam jesteś odpad medyczny! - westchnęła flegmatycznie panna. - Ty mi dzieciaka zrobiłeś? Nie ty! To wyluzuj. Znalazł się! Wariat sanitarny!

Zza ruin szpitalnego ogrodzenia wychynęło nieokreślonej płci stworzenie w białym fartuchu.

- Szaszka! Kanalio! Kogo znowu przywlokłeś na wysypisko?! Żeby cię cholera!

- Olgo Iwanowno, tu już cholery nie trzeba - powiedział gorzko Agadżanow. - Przecież to z troski o was! O wasze zdrowie i o zdrowie waszych dzieci!

- Zjeżdżaj ze swoją troską! Ożeń się! I żonę sobie pouczaj! A ode mnie wara! Życ się odehciewa! - Olga Iwanowna Po-tiebienko, dla wygody zwana we wsi Pojebienką, soczyście zakłęła i skierowała się do sklepu.

- Przy takiej postawie siostry oddziałowej trudno oczekiwać, że reszta personelu, albo tym bardziej pacjenci będą ostrożniejsi! - podsumował ponuro Sasza.

Pół godziny później Nikita znalazł już całą epopeję. Siedzieli na ganku szpitala. Sasza tak się stęsknił za uważnym słuchaczem, że teraz wysypywał Nikicie na kolana ze skórzanej teczki sterty listów i oficjalnych interpelacji do władz wszystkich szczebli.

Sasza walczył nie tylko o naprawę ogrodzenia i likwidację dzikiego wysypiska. Sasza żądał, żeby do wsi doprowadzono telefon, żeby pojawił się własny milicjant i żeby poddać wszystkich mieszkańców obowiązkowym szczepieniom. Nalegał też na „podwyższenie świadomości społecznej w sferze higieny osobistej i kultury słowa”. Oraz na druk broszury *Środki profilaktyczne w kontaktach z chorymi na gruźlicę*. Wiele, wiele tematów poruszał młody nauczyciel w swojej obfitej, choć jednostronnej korespondencji z państwem.

Nikita dość szybko stracił główny wątek opowieści. Wizyty w urzędach zlewały się w monotonną, wieczną pieśń z refrenem „ale mi odmówili”.

I wówczas nad ich głowami zagrzmiało.

- Co, znowu tutaj wężysz?! - ryknął ordynator Stiepan Sawwowicz, już od paru minut przysłuchujący się wynurzeniom Saszy. - A ten to kto? Dlaczego obcy przebywa na terenie szpitala?!

- Stiepanie Sawwowiczu, skoro pańscy pacjenci włóczą się po całej wsi, to i do szpitala może wejść ktoś postronny. Musicie naprawić ogrodzenie - chytrze odparował Agadżanow. - Poza tym to nie obcy. To dziennikarz.

Nikita słuchał zdumiony.

- Tylko tego brakowało! Dziennikarzy nasprawdzał! Do reszty ci odbiło? Może jeszcze wystartujesz w wyborach? - zagrzmiął Stiepan Sawwowicz. - Co za dziennikarz? Nazwisko!

- Aramis - odpowiedział z godnością Nikita.

- Że jak? - ordynator ze zdziwienia stracił impet.

- Aramis Rościszawski. Z gazety „Kultura Kurby”. Korespondent specjalny - Nikita potrząsnął wielkim łapskiem zdę-białego Stiepana Sawwowicza. Po czym, wykorzystując jego konsternację, zapytał surowo:

- Kiedy naprawicie ogrodzenie?

Agadżanow aż gwizdnął z zachwytu. Ordynator powiedział z uśmiechem:

- Ogrodzenie nie ma tu nic do rzeczy. Agadżanow najwyraźniej myśli, że pałeczki Kocha na widok ogrodzenia zawracają i karnie maszerują z powrotem. A pałeczki Kocha są sprytnie, przeleżą przez każdy płot! Gdyby Agadżanow miał jakiegokolwiek pojęcie o medycynie, nie robiłby afery. Tak proszę napisać w tej swojej... hmm... prasie!

- Ale przecież nie o to chodzi! Chorzy wydostają się poza teren szpitala! Bez przeszkód! Stiepanie Sawwowiczu, proszę poczekać! - wołał desperacko Sasza do szerokich pleców ordynatora, znikających właśnie w czeluściach gruźliczego Czarnobyła.

- Nawiasem mówiąc - Stiepan Sawwowicz odwrócił się raptownie - obie córki zaraziły mi się tutaj gruźlicą. I ja też. Taki nasz los. I żadne ogrodzenie nie pomoże.

Ciężkie drzwi zatrzasnęły się z łoskotem.

- Nic do nich nie dociera! Fataliści! - przybito Sasza usiadł na wyszczerbionych schodkach i od niechcenia zbierał rozsypane pisma. - Nie chcą żyć jak ludzie! Chcą umierać! I umrą! Wszyscy, co do jednego! I dzieci pozabijają!

Ale Aleksander Anatoliewicz Agadżanow ze wsi Dudki nie był z tych, którzy się poddają. Później przez kilka miesięcy regularnie dzwonił do

Nikity, dziękował mu za coś i z zapalem opowiadał o kolejnych próbach zawrócenia mieszkańców Dudków na tory godnego, zdrowego życia.

Wkrótce sam uwierzył w bajkę o dziennikarzu i z całym przekonaniem apelował do sumienia Nikity i całej „czwartej władzy”. Nikita obiecywał interwencję i Sasza z nową siłą szedł walczyć z gruźliczymi wiatrakami.

A po pół roku do Nikity zadzwoniła nieznajoma kobieta i całkiem spokojnym tonem powiedziała, że Saszę zabili.

- No jak, kto. Jeden z chorych. Przecież to prawie wszystko kryminaliści. Przystawiał się do siostry Saszy. Sasza zrobił jej pranie mózgu, zaraził się, uważaj... Szalencie boży, sam pan zresztą widział. No i zachorowała. A Sasza przybiegł do niej do pokoju, kiedy ten typ tam siedział, i chciał go wyrzucić. A ten pijany. Zjeżdżaj, mówi, pókim dobry. A Sasza nic. No to dostał parę razy pod żebro. Dwa dni umierał. I ciągle go męczyło, że nie powiedział panu „czegoś bardzo ważnego”... A skąd mam wiedzieć, nie wiem. Kto tam się w tych jego pismach połapie. Niby obiecali mu środki na to przekłete ogrodzenie. Powiedz dziennikarzowi, mów do mnie, że zwyciężyliśmy... Ja? No kto, kto... Jego matka...

8

- W twoim życiu jest za dużo ludzi! - Ala zapalała olejek lawendowy, doskonały na stres. - Jesteś przeludniony jak Chiny! Wszystkich nie wykarmisz. Duszy ci nie starczy. Odpuść. Skończ z tymi ekspedycjami! Do grobu cię wpędzą. Żyłeś sobie spokojnie i bęc, wdepnąłeś w jakieś Dudki. A teraz siedzisz i oplakujesz niewinnie zabitego geografa, którego widziałeś raz w życiu!

- Nic nie rozumiesz...

- Wszystko rozumiem! Doskonale rozumiem, jaki z ciebie dureń! Rosji szukasz, durniu! A twoja Rosja jest w tobie!

- Nie. Rosja jest w innych. W ich historiach. W twojej historii o ucieczce męża i o *Division Bell*. W kobiecie, która przeczytała w amerykańskiej książce, że trzeba się zawsze uśmiechać. W głuchej starej Niurze, która do dziś żyje za Gorbaczowa, bo w osiemdziesiątym szóstym spalił jej się telewizor...

- A dlaczego Rosja nie może być w tobie? Skoro jest w nas? Dlaczego szukasz cudzych Rosji? Mało ci własnej? A może myślisz, że tę własną znasz już z każdej strony?

- Nie, nie znam. O tej swojej jakoś nie myślałem.

- Bo jesteś idiota! Sam siebie nie znasz, a pchasz się poznawać ludzi. Rosja jest w tobie. Cały świat jest w tobie. Kiedy to wreszcie zrozumiesz, przestaniesz miotać się po świecie jak cygański tabor i może w końcu znajdziesz sobie cel. -Jaki?

- Samego siebie.

Aromaterapia i umoralniające pogadanki nie pomogły. Ala przypomniała sobie, że mają z Aloszą trzecią rocznicę ślubu, i spokojny programista został wyprawiony do sklepu po butelkę wódki.

- Wszystko przez ciebie - mówiła zadowolona Ala. - Przez to twoje szukanie Rosji. Znowu się sponiewieram. Znowu upiję się i dam ci w łeb. I zaraz nabierzesz rozumu!

Jakąś godzinę później całkiem już szczęśliwa mówiła:

- Wiesz, za co cię lubię? Nie, nie lubię, nienawidzę, oczywiście, ale dopuszczam twoje istnienie, czasem nawet w pobliżu. Szanuję cię za to, że ani razu nie zapytałeś: jak ty, taka piękna, wyjątkowa i utalentowana, możesz żyć z takim miernym i nieciekawym typem jak Alosza. Ludzie nie

rozumieją! A w porównaniu z nim są jak małe dzieci! Dobrze mówię, Alosza? Opowiedz no mu szybko, jaki jesteś wspaniały!

Alosza czerwieńił się, głębiej wciskał w kąt i nic nie odpowiadał. Alę ciągnęło na dwór, na „spacer pod gwiazdami”. Kiedy zatrzasnęli za sobą drzwi, rozanielony pochwałami Alosza zorientował się, że jest źle: zapomniał wziąć klucze.

- I co chcesz przez to powiedzieć? Że będę tutaj spała? Dobra, prześpię się, różnie już w życiu bywało. Ale to będzie nasza ostatnia wspólna noc! - Ala zostawiła biednego rycerza sam na sam z zatrzaśniętymi drzwiami i zeszła po schodach. - A ty na co czekasz? Mój mężczyzna nie potrzebuje pomocy! Inaczej nie jest *moim* mężczyzną. Idziemy, niech robi, co chce. Nie mam ochoty się nad tym zastanawiać, a i tobie nie radzę!

Ala złapała Nikitę za rękę i pociągnęła na dół. Była druga w nocy. Wszyscy sąsiedzi wyjechali za miasto. Nawet pożyczony łomu odpadało. Nikita poważnie martwił się o Aloszę. Za to Ala była bezlitosna. Usiedli na ławce pod pobliską klatką i dopijali wódkę.

„E-E-ECH, ŚWIEŻY WIATR POWIAŁ NAD POLAAAAMI...” -

rozległa się w ciszy dźwięczna pieśń samotnego wędrowca.

„E-E-ECH, ŚWIEŻY WIATR...” - odgłosy dobiegające z krzaków świadczyły, że śpiewak również tańczył.

Nad głowami Ali i Nikity z trzaskiem otworzyło się okno i niewidoczna furia podstępnie rzuciła w noc pytanie:

- Taaak, komu tam świeży wiatr uderzył do głowy?! Kto obiecał być w domu na dziesiątą, trzeźwy i z wypłatą?!

Trzaski ucichły. Furia drapieźnie dyszała. Po chwili z krzaków znów dobiegł „świeży wiatr”, ale z wyraźną już nutą desperacji.

W mieszkaniu coś huknęło. Ala i Nikita stwierdzili, że pewnie furia pękła, wściekła na bezczelnego nocnego tru-badura-samobójcę. Ale po paru minutach furia żywa i cała, w rozwianym szlafroku i z walkiem do ciasta w silnej, proletariackiej dłoni, wyleciała z klatki i rzuciła się w krzaki, po których wciąż hulał „świeży wiatr”.

Pieśń raptownie ucichła. Męska bokserka przewlokła przed Alą i Nikitą drobnego, rozchełstanego faceta. Piewca świeżego wiatru rozpaczliwie wymachiwał w powietrzu nogami i czał, a w oczach miał bezbrzeżny smutek. Para zniknęła w klatce i po chwili z gniazda furii dobiegły odgłosy przemocy w rodzinie.

Następnie ofiara przemocy w osobie trubadura wychyliła się przez okno, żeby ostudzić oklepaną głowę. I świeży wiatr znowu rozpalil w niej ogień protestu. Na widok Nikity facet ryknął w przypiływie natchnienia:

- Ej, ty tam! Słuchaj, co ci powiem! NIGDY się NIE ŻEN! Nigdy!

Potężna dłoń złapała buntownika za kołnierz, oderwała od parapetu i cisnęła z powrotem na łono rodziny. Okno zatrzasnęło się. Z mroku wyszedł błady Alosza z kluczami.

- Co, wyważyłeś drzwi? - ziewnęła Ala.

- N-n-nie, w-w-wlaziłem po ryn-nn-nn-nie. -1 spadłeś?

- N-n-nie.

- To czemu się jąkasz? Też mi wyczyn, raptem pierwsze piętro! - Ala pogardliwie wzruszyła ramionami i poszła do domu spać.

Nikita spojrzal na okno. Na rynnę. Na niepozornego programistę, który w szkole przez całe dziesięć lat był zwolniony z wufu. I w milczeniu ucisnął Aloszy dłoń. Tak, żeby Ala nie widziała.

Z Podolska Nikita wrócił z trzema rublami w kieszeni. Leczenie się z Rosji, świętowanie trzeciej rocznicy ślubu i opicie rycerskiej wspinaczki Aloszy po rynnne rozciągnęło się na kilka dni.

Na Dworcu Kurskim o piątej rano było jakoś dziwnie. Nikita chciał kupić w kiosku kilka papierosów na sztuki, ale w okienku zamiast tradycyjnego „Wracam za 5 minut” wisiała kartka: „Poszedłem łapać bin Laden”.

W drugim kiosku podstarzała sprzedawczyni zachłystywała się lekturą *Nagiego lunchu*. Pewnie skusiły ją kolorowa okładka i apetyczny tytuł. Raczej nie spodziewała się, że trafi do świata Interzone.

W trzecim kiosku dwu gości z Kaukazu coś kombinowało. Kiedy Nikita zapukał w okienko, podskoczyli spłoszeni i zwalili na siebie lawinę pudełek, a potem rzucili się do ucieczki, zderzyli głowami i w końcu sprzedali Nikicie za trzy ruble paczkę gauloisesów, po czym zatrzęsnęli okienko.

W metrze tłum ludzi czekał na otwarcie bramek. Nikita, całkiem już splukany, poszedł zebrać o dziesięć rubli. Nie miał ochoty na bohaterską wyprawę do Altufiewa, piechotą przez całą Moskwę. Tego ranka czuł się jak jajko na miękko.

Ludzie reagowali chłodno. Ktoś powiedział, że nie ma pieniędzy, został mu tylko pojedynczy bilet. Ktoś inny miał „wyłącznie duże nominały”. Jeszcze komuś nie chciało się sięgać po portfel. Pańcia z wielkimi siatami powiedziała: „Wynocha! Weź się do pracy!” a wąsaty gliniarz zagroził, że pójdą na komisariat.

Przy samym wejściu do metra obudził się bezdomny. Nikt, w tym również Nikita, nie zwrócił na niego uwagi. Tymczasem bezdomny pogrzebał w bezdennych kieszeniach i wyciągnął na świat boży zmiętą dychę. Dumnie przydreptał do Nikity, wręczył mu pieniądze i tryumfalnie rozejrzał się po ludziach. Ludzie udawali, że nic się nie dzieje.

Nikita zaprzyjaźnił się z bezdomnym. „Carthago delenda est!” - powiedział bezdomny, obserwując, jak ludzie szturmują bramki. I wyjaśnił zdumionemu Nikicie, że skończył dwa fakultety, ale nauka rozczarowała go, więc został „wędrownym filozofem”.

Tu nastąpił wykład o sensie życia:

- Życie jest jak schody ruchome, zjeżdżające gdzieś w dół - bezdomny wyciągnął z szerokich nogawek pokruszonego peta i przykucnął. - Na samym dole jest, oczywiście, piekło. Albo niebyt. Albo śmierć. Co kto woli. Naszym celem jest dostać się na górę. Na górze jest Bóg. Albo światło. Albo zbawienie. Mniejsza o słowa. Słowa są nieważne, kiedy schody wciąż jadą w dół.

Weźmy przeciętnego człowieka. Zazwyczaj dąży w górę. Ale wszystkie jego wysiłki niweluje ruch schodów. W sumie stoi ciągle w tym samym miejscu. A co robi większość? Idzie na ławiznę. Męczą się, siadają na stopniach z flaszką piwa i płynnie zjeżdżają na dół. Staczają się. Tylko niektórzy, wybrani, potrafią narzucić sobie takie tempo, żeby przezwyżyć inercję i piąć się coraz wyżej.

- A pan? - zapytał ze smutkiem Nikita. - Co pan robi? Też siedzi na stopniach z piwem?

Myśliciel obrzucił go ciepłym, tragicznym spojrzeniem i powiedział:

- Pnę się w górę. I to tysiące razy szybciej niż inni. Ale moje schody pędzą tak błyskawicznie, że większość z was w sekundę wylądowałaby w piekło. A ja się trzymam, trzymam się już pięćdziesiąt trzy lata. Gdybym z moim intelektem i talentem szedł po waszych schodach, już dawno byłbym na górze!

- Dlaczego pańskie schody tak pędzą?

- Bo biednemu zawsze wiatr w oczy - uciął zirytowany bezdomny. - Skąd mam wiedzieć dlaczego. Pytał mnie ktoś o zdanie? Nikt z nas nie decyduje o swoim życiu. Mamy tylko jeden wybór: możemy wybrać swój stosunek do tego, co wybrano dla nas. Ja do swojego losu podchodzę filozoficznie.

Nikita miał ochotę zapisać tę rozmowę. Sięgnął do plecaka. Na widok notesu bezdomny prychnął:

- Też mi Carlos Castañeda! Zresztą dobra, notuj. Cała antyczna filozofia przetrwała dzięki głupim uczniom, którzy nigdy nie zrozumieli najważniejszego: wiemy tylko to, co wciąż mamy w pamięci, a nie to, co zapisaliśmy na kawałku papieru.

i o

Ala powiedziała: „Nudzą mnie te twoje tragiczne epopeje. Opowiedz w końcu chociaż jedną *dobrą* historię o Rosji. Czy nie ma takich, co?<Czy tutaj w ogóle kiedykolwiek, za cara Cwiczka, było przez chwilę dobrze?”

Junkier powiedział: „Trzeba kupić czterysta baloników i napełnić je helem. A potem przywiązać do nich jakiegoś posła i puścić w niebo. Niech sobie polata i pomyśli. Żadne ryzyko. Hel powolutku ujdzie i poseł miękko wyląduje na ojczystych polach, wpadając wprost w objęcia wdzięcznego elektoratu”.

Jasia powiedziała: „Na wystawie *Walec karo* widziałam taki obraz: człowiek ubrany na czarno, z czerwono-białą opaską na rękawie i złotą aureolą wokół głowy. Jak na ikonie. I pomyślałam, że a nuż za sto lat nasi więźniowie polityczni, konkretnie narodowi bolszewicy, zostaną włączeni do panteonu świętych?! Tak jak Mikołaj u, przecież nikt z jego współczesnych też nie mógł sobie tego wyobrazić! Sam pomyśl, święci męczennicy Abel i Limonow!”

Car Mikołaj i powiedział: „Przyznaję, że istotą moich rządów jest despotyzm. Pasuje do charakteru narodowego Rosjan”.

Dyrektor wydawnictwa Koromysłow powiedział: „Nie rozumiem, dlaczego młodzież tak lubi rozmawiać. Mniej słów, więcej czynów. Chwyć za broń i skasuj paru kabli z FSB. A potem się zastrzel. To jest prawdziwa rewolucja, synu!”.

Szalony hipis w metrze powiedział: „Jaka cenzura? A co z demokracją i z wolnością słowa? Coś wam się pomyliło, żyjemy w cywilizowanym, europejskim kraju. Trzeba jeszcze tylko zalegalizować marihuanę i wszystko będzie OK!”.

Gruba kobieta na dworcu powiedziała do zebrającego chłopca: „Co skamlesz o pieniądze? Duży już jesteś! Pora kraść!”.

Puszkin powiedział: „Diabeł mnie podkusił, żeby z moim rozumem i talentem urodzić się akurat w Rosji!”

1 1

Jasia jak magnes przyciągała wszelkiej maści maniaków, wariatów i zboczeńców. Jeżeli w okolicy zjawiał się taki typ, nieomylnie spośród setek potencjalnych ofiar wybierał właśnie Jasię. I bombardował ją opowieściami o ognistych kulach, które odczytują jego myśli, albo o kosmitach, którzy wykorzystują ludzi jako biologiczne skafandry.

Jasi żał było szaleńców i zawsze ich słuchała. A potem nie wiedziała, jak się od nich uwolnić, bo, jak wiadomo, maniaka spławić nie tak łatwo.

Najbardziej ekstrawagancki maniak Jasi nosił ksywkę Drga-wa i działał w Komsomole. Działacz był całkiem siwy, chociaż nie taki znów stary. No, jak na Komsomol może jednak za stary. Miał trzydzieści pięć lat.

Jasia przyuważyła go na manifestacji antyamerykańskiej. Drgawa właśnie palił kukłę Georgea Busha. Miał przy tym taką minę, jakby mordował nie kupę szmat, ale żywego prezydenta wrogiego imperium. I jakby Bush szarpał się, jęczał i błagał o litość.

Kiedy jednak kat zobaczył Jasię, wypuścił niedopalonego prezydenta i rzucił się ku niej poprzez tłum rachitycznych nacjonalistów i czerwonych staruszków, jak lodolamacz „Krasin”.

Przedarł się do Jasi, padł na kolana (było ślisko) i potrząsając wszystkimi członkami (stąd ksywka), powiedział:

- Siostrzyczko! Całe życie na ciebie czekałem! Pójdź, wysłuchaj mojej spowiedzi!

I chora na empatię Jasia poszła. Od tej pory naczelnym celem jej burzliwego życia stało się uwolnienie od maniaka.

Drgawa deptał jej po piętach. Spał na schodach jej domu, trzymał wartę pod uniwersytetem. Dokądkolwiek udawała się Jasia, towarzyszył jej w pewnym oddaleniu, przewiercając plecy ofiary wzrokiem ewidentnie wołającym o pilną interwencję psychiatry. Przyjaciele Jasi czasami zauważali ten ogon i wyrażali z jego powodu zaniepokojenie. Na co Jasia beztrudno odpowiadała:

- A, wszystko w porządku, to mój maniak! Jest słodki! Kiedy Jasia zostawała sama, taktowny Drgawa doganiał ją

i zwierzał się „siostrzyczce” z kolejnej dramatycznej stronicy swego żywota. Najczęściej były to historie o „kumplach”, którzy wszyscy jak jeden mąż już nie żyli, a dokładniej „odchlastali się”, jak soczyście ujmował to Drgawa.

Pewnego dnia Drgawa w mocno lirycznym nastroju zaciągnął Jasię na cmentarz, gdzie leżeli rzeźbieni „odchlastani kumple”. I cały dzień pokazywał jej groby, wyjąc nad nimi rzewne pieśni rosyjskiej estrady. „Zostałem sam, odeszli wszyscy przyjaciele” i tak dalej. Jasia usiłowała uciec, ale Drgawa mocno trzymał ją za rękę.

Kiedy zrobiło się ciemno, Drgawa rozpałił ognisko na poboczu trasy szybkiego ruchu, posadził Jasię na zgnitym pniaku i opowiedział, jak to dobrze było za czasów Związku Radzieckiego. Bo przecież wszyscy „kumple” jeździli autostopem, byli jeszcze żywi i dzień w dzień obalali flaszkę za trzy ruble sześćdziesiąt dwie kopiejki w „naszym barze” na rogu Lenina i 25 Października...

Wkrótce jednak wspominki przestały wystarczać. Drgawa postanowił ożenić się z Jasią. Ślub zaplanował na siódmego listopada, w rocznicę Rewolucji, z transparentami i aksamitnymi sztandarami komitetu rejonowego. Drgawa nie tytułował już Jasi „siostrzyczką”, dręczył natomiast propozycjami, mającymi dowieść siły i głębi komsomolskiego uczucia.

- Powiedz jedno słowo, a skoczę z tego mostu! - mówił Drgawa, wytrzeszczając szalone, błękitne oczy.

Jasia nie chciała, żeby skakał, bo było już dość chłodno.

- Jeżeli ktoś cię krzywdzi, powiedz - zaraz zmuszę sukinsyna, żeby zeżarł żmijkę hydrauliczną! - Drgawa podniecał się coraz mocniej i już, już gnał do domu, wyciągać ze skrzyni złowieszcze narzędzie. Jasia nie bardzo wiedziała, jak wygląda żmijka hydrauliczna, i naiwnie myślała, że chodzi o coś w rodzaju paskudnej glisty. Żmijka okazała się pięciometrową sprężyną. Zeżarcie jej groziło poważnymi komplikacjami. Takimi, jakich Jasia nikomu nie życzyła.

Tymczasem rozochocony Drgawa walił pięściami w betonowy płot i przestawał dopiero, kiedy palce zmieniały mu się w krwawą miazgę.

Większość ludzi na miejscu Jasi powtórnie przemyślałaby kwestię małżeństwa, ale Jasia miała w zwyczaju myśleć raz a dobrze.

Kulminacja komsomolskiej miłości dopadła Jasię w noc sylwestrową. Właśnie po raz kolejny rozstali się z Nikitą „na zawsze i ostatecznie”

(oczywiście z inicjatywy Jasi) i dumna, wolna Jasia poszła zabawić się w akademiku Akademii Pedagogicznej.

Nad ranem, kiedy przysze panie i panowie nauczyciele spadli już pod stoły, w progu „bzykalni” (tak nazywano salę, przeznaczoną do wszelkiego rodzaju rozrywek) stanął Drgawa. Ledwie trzymał się na nogach, był cały zalany krwią, a w rękach ścisnął siekiere.

- Pójdiesz ze mną! - ryknął na widok Jasi, smętnie skulonej na parapecie. Jakiś czas wcześniej Jasia zmieniła jednak zdanie w kwestii niezmienniania zdania, czyli konkretnie małżeństwa z komsomolcem.

- A to dokąd? - zapytała ciekawska Jasia.

- DO PIEKŁA! - zawył Drgawa, skłonny do tanich efektów, i szeroko zamachnął się siekiere. Studenci zapadli w jeszcze głębszy sen.

- Co tam masz? - zapytała Jasia surowym tonem nauczycielki klas młodszych. - Pokaż no, ale już!

I wtedy wydarzył się cud: Drgawa oklapł i bez protestów podał Jasi narzędzie zbrodni. Jasia z zimną krwią cisnęła siekiere we względnie bezludny kąt i zaprowadziła Drgawę do legendarnego już w akademiku kibla, gdzie obmyła go z krwi i opatrzyła pocięte żyły i aorty. Drgawa zasnął przy umywalce, a następnego dnia nic nie pamiętał. A Jasia pogodziła się z Nikitą i oświadczyła, że „po takich akcjach rodem z Dosto-jewskiego można już tylko jechać do Petersburga”. Pożyczyli pieniądze i ruszyli do miasta Raskolnikowa.

Nikita raz jeszcze spotkał potem Drgawę. W ulewnym październikowym deszczu. Skulony i przygięty prawie do samej ziemi siwy komsomolec miał na piersi maleńki, pionierski werbel. Wyglądał na wyczerpanego samotnymi pijackimi ciągami i walką z imperializmem. Uchyłał się przed każdą kroplą, jakby bohatersko kroczył ku świetlanej przyszłości nie w deszczu, ale pod gradem kamieni. Zła, kapitalistyczna wódka zeżarła Drgawie żołądek. Teraz co chwilę padał na kolana i wymiotował krwią. I brnął przez ciemność i błoto, w zakrwawionym płaszczu, z dziecięcym bębenkiem na szyi. Jak poranione w bojach i osiwałe widmo małego dobosza ze starych radzieckich bajek.

Roszczyna Nikita poznał w Petersburgu. Podczas próby (udanej) kradzieży z księgarni dzieła *Spoleczeństwo spektaklu*. Sprzedawcy, pochłonięci rozwiązywaniem krzyżówki, nic nie zauważyli, zauważył natomiast i docenił Roszczyn. Kiedy Nikita wyszedł, na ulicy dogonił go młody uczoney i powiedział: „Dobrą książkę pan ukradł”.

Roszczyn miał dwadzieścia pięć lat, początki łysiny, stopień naukowy i półroczną córkę Marię Jewgieniewną. Maria Jewgieniewna niezbornie turlała się po kanapie, a Roszczyn czytał Guya Deborda, lubił film *Pancernik Potiomkin* i - pod pseudonimem „Ropszyn” - drukował w gazecie „Limonka” ersze o bombach.

Roszczyn miał też czterysta godzin transu w komputerze i koszulkę z portretem Che Guevary z gigantycznym skrętem w zębach.

Roszczyn mówił: „Wstyd mi być człowiekiem sukcesu, kiedy w moim rodzinnym Kowrowie ludzie chrupią koty. Dlatego ciągle myślę o rewolucji. Inaczej myślałbym tylko o Marii Jewgieniewnie i na okrągło słuchał transu”.

Nikita uważał, że właśnie to „wstyd mi” czyni Roszczyna klasycznym rosyjskim inteligentem. Z tych od pracy u podstaw.

Roszczyń obrażał się o słowo „inteligent”. Mimo że wykładał na wydziale filologicznym.

Kiedy studentki spotykały swojego ukochanego Jewgienija Jewgieniewicza pijącego piwo na Marsowym Polu w towarzystwie rozkochanych działaczy opozycji albo na koncercie pankowym, Roszczyń szczerze rozpaczał nad utratą „autorytetu pedagogicznego”. A studentki uwielbiały go jeszcze mocniej.

Nikt nie opuszczał wykładów Jewgienija Jewgieniewicza. Ludzie chodzili na nie nawet podczas pijackich ciągów i kryzysów światopoglądowych. Które zresztą przeważnie prowokowała wywrotowa działalność pedagogiczna tegoż Jewgienija Jewgieniewicza. Nikita kilkakrotnie uczestniczył w tych spędach. I na własne oczy zobaczył, jak młodzież, czytając na co dzień romanse i kryminały i nucąc przeboje pop, ociera łzy, słuchając o młodości terrorysty Iwana Kalajewa, który zobaczył Boga, stojąc po pas w bagnie. Oczywiście studenci nie byli w stanie wyłowić z wykładów Roszczyńa anonimowych cytatów z klasyków światowej myśli antyburżuazyjnej, ale słuchali kazań z otwartymi ustami.

„...ponad wieżę Tatlina jest tylko Bóg. To wieża anty-Ba-bel. Odwrócona projekcja. Babel oznacza rozbitcie, brak porozumienia, spory, każdy sobie, its your problem, jak mówią. A u Tatlina odwrotnie: Międzynarodówkę, ludzi połączonych ponad barierami języka i rasy. Pod względem semantycznym to antyteza wieży Babel. A pod przestrzennym antyteza wykopu Platónowa. Wieża rośnie w dół, w głąb ziemi. Jednak napięcie semantyczne pozostaje: samotność człowieka, przerwana komunikacja, i to nie tylko między ludźmi, ale też między człowiekiem a światem. Między człowiekiem a jego własnym życiem. Czyli śmierć. Wykop to wielki grób. Symbol pogrzebania. Kastracji życia, które - pozbawione sensu - zmienia się w pustą skorupę, w szmaty i odpadki, które Woszczew zbiera do tobołka...”.

Roszczyń cieszył się opinią człowieka, który potrafi wyjaśnić absolutnie wszystko. Po zajęciach niektóre wybitnie odważne studentki podchodziły do niego z pytaniami, wychodzącymi daleko poza ramy studiów.

- Nie rozumiemy się z moim chłopakiem. Wydaje mi się, że on jest ze mną tylko dla seksu, że wcale nie interesuje go mój wewnętrzny świat - mówiła wstydliwie studentka pierwszego roku, Rita, umalowana, jakby szła na wybieg dla modelek.

- Poczucie totalnej nieprawdziwości tego, co się dzieje -diagnozował Roszczyń. Poprawiał okulary i starał się nie gapić na stringi, wystające spod dzinsowych biodrówek Rity. Uradowana dziewczyna, kiwała głową. - To charakterystyczne dla społeczeństwa konsumpcyjnego - ciągnął Roszczyń. - W kapitalizmie zachodzi nie tylko alienacja pracy, ale też alienacja ludzi, a to znacznie straszniejsze. Wszystko staje się towarem, również miłość, przyjaźń, patriotyzm, sztuka i nawet wiara! Pani chłopak to typowy konsument!

- To co mam robić? - pytała wstrząśnięta Rita.

- Niech pani czyta Kafkę, Camusa, oni wszystko dokładnie opisali. Jak tego będzie mało, przyniosę pani inne książki. Sub-comandante Marcosa, na przykład. I proszę poprawić dzinsy, bielizna wystaje. To może mieć zły wpływ na pani życie osobiste, całkiem jak kapitalizm.

Rita czytała pierwszych dziesięć stron powieści Camusa i radykalnie zmieniała swoje życie: rzucała seksualnego kon-sumpcjonistę i zakochiwała się na zabój w Roszczyńie.

Na fali nieodwzajemnionej miłości pochłaniała jeszcze *Przemianę* i *Proces* (dzieła stosunkowo krótkie), ale już Guy

się korytarzem, rzucając wokół charakterystyczne, drapieżne spojrzenia lowcy. Taksował wszystkie potencjalne Tanie, a tych na wydziale filologicznym były całe stada.

Misza natychmiast zapomniał, że przecież „nic nie ma sensu”. Roszczyń obserwował go przez otwarte drzwi gabinetu i rechotał, sięjąc postrach wśród bojaźliwych metodyczek.

Debord okazywał się nie do przeskoczenia, więc wracała do chłopaka i znowu wkładała dzinsy, pozwalające swobodnie prezentować światu garderobę intymnego użytku.

W praktyce pedagogicznej Roszczyńa zdarzyła się jeszcze jedna zabawna historia z udziałem Camusa. Pewien błady młodzieniec, student pierwszego roku, nagle przestał chodzić na zajęcia. Wszyscy myśleli, że zachorował, ale do dziekanatu zadzwonili przerażeni rodzice bladego Miszy i oświadczyli, że ukochany potomek zapadł na chorobę mocno nietypową.

Otóż całymi dniami leżał na kanapie, patrzył w sufit i twardo odmawiał uczestnictwa w życiu. Objawy wyglądały nader groźnie.

„Nic nie ma sensu...” - mówił Misza głosem pełnym szczerzego smutku, typowego dla okresu dojrzewania. A na dalsze pytania nieodmiennie odpowiadał:

„Tam, na podłodze... Przeczytajcie, to zrozumiecie... O ile potrafiacie cokolwiek zrozumieć...”.

Przy łożu boleści, w kurzu i pajęczynie, pośród kaset Nir-vany i brudnych skarpetek leżał winowajca: *Obcy* Alberta Camusa. Rodzice zażądali, żeby wykładowca literatury, odpowiedzialny za „zawrócenie dziecku w głowie tym świństwem”, przyjechał i „przedsięwziął środki”. Bo jak nie, podadzą go do sądu. To jest demoralizacja małych. Demoralizacja intelektualna, ot co, dodawali.

Roszczyń nie chciał mieć kłopotów z prawem. Chociaż opinia „demoralizatora intelektualnego” całkiem mu pochlebiała. Pojechał wyzwać młodzieńca z pęt egzystencjalizmu.

Misza przypominał śpiącą królową: leżał z rękami skrzyżowanymi na piersi i męczeńsko marszczył czoło. Roszczyń umościł się u wezłowania chorego i, jak Choma Brut u Gogola, zaczął czytać pacierze.

Na pierwszy ogień rzucił Limonowa, którego agresywnie infantylne teksty potrafią wyrwać człowieka z najgłębszej depresji. Tak przynajmniej sądził.

„Czeka mnie śmierć bohatera, a nie przypadkowej ofiary albo wystawionego do wiatru kochanka...”.

Egzystencjalna księżniczka groźnie poruszyła się na kanapie, wbiła w Chomę płonący wzrok i warknęła: „NIE WIERZEI”.

Roszczyń pospiesznie rzucił Limonowa na lepką podłogę i chwycił Henryego Millera.

„W nocy wpadam w histerię, widząc kozia bródkę Borysa na poduszce. Och, Taniu, gdzie jest teraz ta twoja gorąca cipa, te grube podwiązki, te miękkie, pełne uda? W moim kutasie jest sześciocalowa kość...”

Roszczyń czytał jak najciszej, żeby uzdrowicielskie słowa starego, lubieżnego\*Heńka nie doleciały do uszu czujnych rodziców. Księżniczka zastęła w napięciu, a jej oko rzuciło Chomie całkiem przytomne spojrzenie.

„Rozepcham swoim nasieniem wszystkie zmarszczki w twojej cipie, Taniu”.

Błady Misza kwiknął i pierwszy raz od dwu tygodni usiadł na kanapie.

„Po mnie możesz oddawać się ogierom, bykom, baranom, łabędziom, bernardynom. Możesz sobie wsadzać w odbytnicę żaby, jaszczurki, nietoperze...”. Roszczyń był mokry od potu. W każdej chwili oczekiwał nalotu rodziców. A wtedy proces o demoralizację miałby już jak w banku. Tymczasem księżniczka wyraźnie się ożywiła, zlazła z kanapy i, nerwowo przelykając ślinę, zapytała:

- Da mi pan TO poczytać?

W ten sposób błady student został uleczony z Camusa. W nocy pochłonął *Zwrotnik Raka* i nazajutrz rano przyszedł na wykłady. Wyglądał jak okaz zdrowia: sprężyste skradłał

- Ojoj, jaki zajęczek! - pisnęła rozpląsana matuszka, wskazując Nikitę palcem. - Złotko, przedstaw nas sobie, natychmiast, chcę takiego zajęczka!

- Spierdalaj - westchnęła Jasia. Matuszka wydeła wargi i zajęła się whisky. Do kuchni weszła gruba, brodata dziewczyna z maślanymi oczami, padła na szeroką pierś popa i uderzyła w płacz.

- Nie płacz, Apollo! - mrucał bez przekonania duchowny, głaszcząc farbowane loki nieszczęśnicy. - Przecież wiesz, że on wróci. Poszlają się trochę i wróci. Za każdym razem wraca. Lepiej napij się z nami!

- Co za drań, co za lajdak! Jak ja go nienawidzę! Wszystko dla niego robiłam, wszystko, słyszycie?! Oddałam mu nawet swoją skórzaną marynarkę! Załatwiałam tabletki! A on... -skarżył się piskliwym głosikiem Apollo, chlapiąc w czarną riasę.

Matuszka co chwila wychylała się zza butelki i puszczała oczko do Nikity, wypytując przy tym Jasię: „Co lepsze: puder w kamieniu czy zwyczajny fluid?”.

- Czymkolwiek byś ten pysk wymazała, więcej jak dychę pod latarnią nie wyhaczysz! - rzuciła brodata dziewczyna dziwnie męskim głosem.

- Sam jesteś za dychę! Idź do lasu i zdechnij! - pisnęła matuszka, oblizując Nikitę pożądliwym spojrzeniem.

- Nie po bożemu to wszystko, oj, nie po bożemu - mrucał basem pop.

Do kuchni napływali jeden za drugim zwabieni zapachem whisky azjatyccy aktorzy.

- Jasia! Co ty tutaj robisz? - zapytał Nikita.

Jasia spojrzała na niego tępyimi oczami lalki. Azjaci wciąż napływali. Skośnooki chłopak w czarnych pończochach padł przed popem na kolana:

- Ojcie! Zgrzeszyłem! Śmiertelnie zgrzeszyłem!

- Wyznaj swój grzech, mój synu.

Dziwni znajomi z nowego życia Jasi sklaniali Nikitę do smętnych rozmyślań. Choć dzielnie starał się nie myśleć. Pewnego razu początkująca aktorka porno zadzwoniła do niego w środku nocy i oświadczyła, że od paru miesięcy nie widziała ani jednej ludzkiej twarzy. Nikita złapał taksówkę i pojechał pod wskazany adres. W wesołym głosie Jasi usłyszał nutę rozpacz.

Drzwi otworzył rumiany pop. Na piersi zamiast krzyża majtała mu się akredytacja na pokaz sztuki fryzjerskiej Siergieja Zwieriowa. W przedpokoju na stercie butów spało kilku zbłąkanych potomków Czyngis-chana. Jeden z synów Wschodu miał na sobie pończochy, czarny koronkowy komplecik i ślady szminki, i to na całym ciele. W kuchni siedziała nad butelką whisky piękna i wymęczona Jasia. Pop nalał Nikicie i poszedł szukać żony, mamrocąc: „Matuszka trafiła mi się bardziej pijąca, jeszcze przeklnie, jak jej nie zawołam”.

- Gdzie nie spluniesz, pedały! - warknęła Jasia, nie patrząc na Nikitę, i lęknęła z gwinta.

- Gwiazdeczko! Ładnie to tak pić beze mnie?! - do kuchni wtoczyła się, profesjonalnie zarzucając biodrami, „matuszka” w osobie czarnego chłopaczka z kolczykiem w dolnej wardze.

Pop ciężkim krokiem szedł za nią

- Lubię macać wielkie cyce, ojcie!

Matuszka zwinęła się ze śmiechu. Azjaci patrzyli na rodaka z obrzydzeniem. Pop szerokim gestem pobłogosławił grzesznika.

- **JASIA!!! CO TY TUTAJ ROBISZ?!** - wrzasnął Nikita prosto w ucho Jasi. Jasia odskoczyła. Przestraszeni pederasty zamilkli, tylko matuszka szepnęła zachwycona:

- Ach, co za mężczyzna!

- **JASIA!!! CO TY TUTAJ ROBISZ?!**

Kwiaty Wschodu jeden za drugim na paluszkach wycofywały się z kuchni.

- **JASIA!!! CO TY TUTAJ ROBISZ?!**

Brodata dziewczyna, pokwikuując, wybiegła w ślad za kwiatami,

- **JASIA!!! CO TY TUTAJ ROBISZ?!**

Pop chuchnął, wstał, chwycił jedną łapą butelkę, drugą ma-tuszkę i z godnością podążył ku drzwiom. Matuszka zwinnie wygięła całe ciało i posłała Nikicie całusa.

- **JASIA!** co...

- Zamknij się, dobra? Nie rób mi wstydu, i tak już wszystkich wystraszyłeś! - podejrzenie łagodnie powiedziała Jasia, usiłując zapalić papierosa. Nikita wyrwał jej zapalniczkę.

- Spójrz mi w oczy, ale już! Nie możesz?! Co ty wyprawiasz! **JASIA!** Przecież to nie ty! Przecież pamiętam...

- Tak. Nie mam ochoty na wieczór wspomnień. Ja też wszystko pamiętam. I **NIE CHCE NICZEGO PAMIĘTAĆ! TO** jest moje życie. Sama je wybrałam. I bardzo mi się podoba! Rozumiesz?!

- Nie kłam, bardzo cię proszę - powiedział cicho Nikita. Jasia się rozpląkała. Łzy były jej potężną bronią. Posługiwała się nią po mistrzowsku. Po prostu patrzyła na Nikitę

wielkimi, szczerymi oczami, z których płynęły wielkie, szczerze łzy, i milczała. Myśl, co chcesz. Potem z ciężkim westchnieniem zapaliła.

- Teraz jest już za późno. Sam mi na to pozwoliłeś. Zawsze wiedziałeś, jak żyć. A ja nie wiedziałam. Nigdy. Taki jesteś mądry, dlaczego pozwoliłeś mi odejść? A teraz przychodzisz i wrzeszczysz: „Co ty tutaj robisz”? Ja tu żyję! I to jest twoja wina! Trzeba było mnie związać i nie puszczać!

- Jasia, sama wiesz, że ciebie nie da się zatrzymać.
- Bo nawet nie próbowałeś! Bo wcale mnie nie kochasz!

- Wybacz mi, proszę.
- To ty mi wybacz. To nie twoja wina. Bardzo cię kocham.
- Ja też cię kocham.
- Nie, nie rozumiesz: ja cię **KOCHAM**.
- Dobra, chodź zmienimy już temat.
- Dobra.

Spśród wszystkich radykalnych przyjaciół Roszczyna naj-przyzwoitszy był Tioma. Często spacerowali z Roszczynem po Ogrodzie Letnim, z rękami założonymi za plecy, i rozmawiali o tym, co najważniejsze. Kiedy Nikita przyjeżdżał do Pitra, stawał się wolnym słuchaczem tego spacerującego uniwersytetu. Tioma i Roszczyn ogłaszali bezrękie marmurowe boginie dyskusjami o Baudrillardzie i Hakim Beyu, o wojnie Anglików z Zulusami i o teorii konserwatywnej rewolucji.

Tioma był adeptem filozofii Aleksandra Dugina i twierdził, że przeczytał i rozumiał dzieła zebrane brodatego mędrca. Sceptyk Roszczyn był pewien, że teorii Dugina nie rozumie nikt, z samym Duginem włącznie. Tioma pogardliwie komentował:

„Roszczyn! Masz piękny mózg - bez żadnej zmarszczki!”

Tioma temperował jednak snobistyczne zapędy i usiłował wyłożyć szerokim masom konspiracyjną istotę objawień Dugina. Drukował na atramentówce pismo „Hierarchia”, składane perfidnie drobną czcionką, i regularnie wysyłał do Dugina żądania partycypacji w kosztach druku. Dugin ezoterycznie milczał, a „Hierarchia”, której nikt nie chciał nie tylko kupować, ale nawet brać za darmo, porastała kurzem na pawlaczu Tiomy, aż w końcu mama Tiomy zalepiła nią okna. Wówczas Tioma odpuścił sobie nieużytego Dugina i zaczął tłumaczyć Sławoja Żizka.

Pewnego jesiennego wieczoru spacerowali w trójkę po Ogrodzie Letnim, rozmawiając o niedawnym aresztowaniu Limonowa i konieczności „dogłębnych reform wszystkich poziomów rzeczywistości”.

I nagle Tioma, który dotąd najgłośniejszy krzyczał o terrorze i dyktaturze proletariatu umysłowego, jakby mimochodem powiedział:

- A właśnie, znalazłem pracę.
- Gdzie? - spytał opryskliwie Roszczyn, zły, że mu przerwano.
- W **FSB** - odpowiedział spokojnie Tioma. Złowieszczy kabalistyczny skrót zawiśł w gęstym mroku.

Roszczyn skamieniał. Wiatr mistycznie zawył w koronach drzew. Na kamienne ramiona Roszczyna z szumem posypały się liście. Filologa outsidersa złapał atak kaszlu. Tioma zachował olimpijski spokój.

- Artiom! Ocknij się! Przecież to zwyrodniały! Wrogowie ludu! Ręce mają po łokcie we krwi! I sale tortur w piwnicach! -lamentował Jaków Pietrowicz Butman, ojciec Tiomy, stary dysydent i kuchenny orator, na wieść o nowej pracy syna.

Jaków Pietrowicz lubił napić się wódki w towarzystwie Tiomy i Roszczyna, skrytykować ich „szczeniący radykalizm”, a potem protekcjonalnie opowiedzieć o swojej walce z reżimem, przyciskając to jednego, to znów drugiego „młodego buntownika” do obficie owłosionej piersi.

Czy biedny Jaków Pietrowicz mógł się spodziewać, że w łonie jego własnej rodziny wylęgnie się żmija? Nie! W najgorszych snach mu się nie śniło.

- Artiom, bój się Boga, co ty robisz? Przecież to inkwizytorzy! Mordercy! Szatany! - jęczał stary Butman, posypując popiołem szlafrok frotte. - Wychowałem cię, wykarmiłem... A ty co?!

- Ja cię spłodziłem i ja cię zabiję! - podpowiadał Roszczyn.

- O to, to! - podchwytował rozgorączkowany Jaków Pietrowicz i dopiero po chwili reflektował się i bojaźliwie zerkał na syna: cholera, pracownik organów, może lepiej nie mówić przy nim takich rzeczy? Jeszcze potraktuje je jako atak na funkcjonariusza podczas pełnienia obowiązków służbowych?

- No i co teraz? We własnym domu, we własnej kuchni mam uważać, co mówię?! Pięknie nas urządził! - wyplakiwał się Butman na ucho małżonki, dobrotliwej gospodyni domowej i przy okazji wielbicielce Bławatskiej.

- Ciii, nie denerwuj się, weź tabletki. Długo tam u nich nie wytrzyma - mówiła mądra kobieta, która, jak to kobieta, wiele już w życiu widziała.

Na początku Tioma tłumaczył swoją pracę w organach standardowo: trzeba rozwalić system od wewnątrz, no i poznać wroga. Ale nikt mu nie wierzył. Wówczas flegmatyczny intelektualista przyznał, że poszedł do **FSB**, żeby uniknąć wojska i nie trafić do Czeczenii. Czeczenię Tioma nazywał Niezależną Republiką Iczkerii. Roszczyn zaakceptował tę wersję, ale Jaków Pietrowicz cierpiał.

Praca w organach wyraźnie zmieniła obyczaje Tiomy. Nie miał już teraz czasu na spacer po Ogrodzie Letnim i rozważania o rewolucji. Zresztą czułby się niejednoznacznie.

Za to już w drugim tygodniu pracy Tiomę, który dotąd na studenckich popijawach łykał najwyżej jedną butelkę piwa, żeby skoro świt raźnie gnać do biblioteki, po raz pierwszy przyniesiono do domu. Przynieśli koledzy z pracy.

Kiedy Jaków Pietrowicz zobaczył w swoim własnym przedpokoju ludzi w mundurach, taszczących bezwładne ciało syna, stracił rewolucyjną czujność i zawył:

- Katy! Czekiści! Kanalie! Zamordowali mi dziecko!

Ale Tioma żył. Był tylko pijany w trupa. W FSB świętowano awans oficerski kolegi. Normalka. A że chłopaki awansowały szybko, odtąd Tiomę przynoszono do domu regularnie. Jaków Pietrowicz miał własną teorię galopującego alkoholizmu syna. I - wstyd powiedzieć - w głębi serca był zadowolony.

- Widzisz, Niusza! - mówił do żony, przerywając jej lekturę dziesiątego tomu Bławatskiej. - Pije, bo cierpi! Bo gryzie go sumienie! Czyli nie wszystko stracone! Jest jeszcze nadzieja! Może zadrży mu ręka, kiedy będzie nas rozstrzeliwał!

Tioma przynosił z FSB nowe fascynacje. Ale starych też nie zaniedbywał. Na przykład nadal tłumaczył Żizka, zarabiając na antyburżuazyjnej filozofii znacznie więcej niż na straży federalnego bezpieczeństwa. W związku z czym bezpieczeństwa strzegł bez fanatyzmu. A konkretnie: wszystkie zasłyszane w czterech ścianach „biura” tajemnice natychmiast i ze szczegółami przekazywał towarzyszącej bronii.

„Tioma, ile kosztuje tajemnica państwowa?” - pytał go teraz Roszczyn w ramach powitania. I proponował wybić w fasadzie straszego gmachu okienko, przyczepić szyld „Butman z o.o.” i wywiesić cennik.

Tioma zdradził między innymi, że FSB ma „teczki” na wszystkich bez wyjątku. Zwykli, porządni obywatele mają teczki cienkie i nudne: urodził się... ukończył... pracował... stan cywilny... Tyle.

Natomiast teczki co ciekawszych obywateli ledwie się domykały. Na przykład „teczka Roszczyna” zawierała kilka dokładnych konspektów jego wykładów o twórczości Borysa Sawin-kowa i o powieści *Biesy*. Tioma wprawdzie zapewniał, że teczki kurzą się w archiwum (w piwnicy, co do której stary Butman był pewien, że jest tam sala tortur) i pies z kulawą nogą do nich nie zagląda, jednak Roszczyn poczuł się zaniepokojony. Jakiś student na niego donosił. Ohyda.

Tioma wyżej cenil braterstwo bronii niż przysięgę złożoną państwu, więc wykradł teczkę z archiwum. I uroczyście podarował Roszczynowi w rocznicę Rewolucji. Przekazał też dane donosiciela. Okazała się nim Margarita Rukosujewa. Rita w stringach. Oto do czego może popchnąć kobietę nieodwzajemniona miłość!

Przy okazji Tioma natknął się w piwnicy na teczkę Michaiła Wostruchina - bladego Miszy, którego Roszczyn leczył Hen-rym Millerem. W teczce było mnóstwo fotografii Miszy pod czerwonymi sztandarami z sierpem i młotem, skrzyżowanymi jak swastyka. Widać Misza po udanym polowaniu na stada Tań znalazł na podłodze upuszczoną przez Roszczyna książkę Limonowa, przeczytał i tym razem uwierzył.

Mama miała rację: kariera obrońcy ojczyzny szybko się skończyła. Pewnego dnia Tioma siedział w pracy i czytał w internecie kolejny artykuł Żizka, szykując się do przekładu. Nagle usłyszał za plecami kroki dowódcy, a potem straszne słowa:

- Jutro jedziesz w delegację. Do Czeczenii.

Tioma wstał zza biurka i cicho, ale dzielnie, jak dekabrysta na przesłuchaniu, powiedział:

- O nie, do Iczkerii nie pojedę!

- To pisz wymówienie! - szczechnął kat, gnida i kanalia. Nawet nie zwrócił uwagi na nieprawomyślną nazwę zbuntowanej republiki.

I Tioma napisał. A potem zrobił to, o czym ponoć marzył od dnia wstąpienia do służb. Oddając wymówienie, schylił się i czule szepnął na ucho swojemu - byłemu już teraz - szefowi: „Spierdalaj!”.

Potem odwrócił się powolutku i dostojnie opuścił gabinet. Za drzwiami nerwy nieco mu siadły i pognał, gdzie oczy poniosą, zapomniał nawet zabrać dyskiety z przekładami Żizka, czego potem bardzo żałował. Średnia przyjemność tłumaczyć Żizka po raz drugi.

- A nie mówiłem, Niusza?! Zawsze wiedziałem, że wychowaliśmy bohatera! Moja krew! Moja szkoła! Mój synek! - krzyczał Jaków Pietrowicz, opijając w kuchni „brawurową akcją wywiadowczą” Tiomy. Świętował wybicie się na niepodległość. Przynajmniej we własnej kuchni.

Tioma nadal nie miał ochoty walczyć o „zachowanie integralności państwowej Federacji Rosyjskiej”, więc poszedł na studia doktoranckie i zajął się historią współczesnych partii radykalnych. Wśród źródeł doktorant Butman z dumą wskazywał tajne akta FSB.

Kiedy mieli po szesnaście lat, Jasię, piszącą charyzmatyczne białe poematy o bojownikach czeczeńskich i rodzimych lewakach, zaproszono dS Moskwy na radykalną imprezę literacką.

W pociągu Jasia zorientowała się, że zgubiła teksty. Wszystkie. A na pamięć znała tylko cudze wiersze. Przemyślała sprawę, beztrąsko machnęła czerwono-czarno-białą grzywką i zawołała:

- Mam! Mam miniaturę liryczną! Zaajebista!

Impreza była wyjątkowo radykalna. Przy wejściu do suterenu kręciły się typy wyraźnie nienawykłe do deklamowania czy pisania wierszy. I bez wierszy były radykalnie zadowolone z siebie. Na asfalcie spał etosowo poeta Andriej Rodionow. Obok siedział smętny pank Plaksa i desperacko wbijał wzrok w dno butelki. Butelka była pusta. Pisarz Rachmaninow - złote zęby, bandycka morda - zbierał od przechodniów drobne do wielkiej czapki. Kilku innych działaczy literackich z ożywieniem wspominało, co, gdzie i kiedy pili poprzedniego dnia i komu obili późnej pyski.

Salę wypełniała przywoitsza publiczność. Pod ogromnym portretem Saddama Husajna i malutką fotografią Majakowskiego siedzieli brodaci - każdy z brodą w niepowtarzalnym stylu - chłopcy i słodkie, naszpikowane kolczykami dziewczyny. Przy mikrofonie stał garbaty, pryszczaty nastolatek i z werwą deklamował:

- Bracia! Pojechałbym sobie!

Publiczność reagowała rzęsiстыми oklaskami. Poeta kłaniał się i kontynuował:

- Kocham cię... - tu teatralnie zawiesił głos, a publiczność wstrzymała oddech - ...jechać!

Potem do mikrofonu podpłynęła lunatycznym krokiem łysa poetka Szura. Szura wyraźnie nie kojarzyła, dokąd ją przywiał, i w popłochu rozglądała się po sali. Dobrą minutę prze-stępowała z nogi na nogę. Publiczność cierpliwie czekała. W końcu poetka zauważyła mikrofon i na jej twarzy pojawił się przebłysk świadomości. Gestem gwiazdy rocka energicznie chwyciła statyw, otworzyła usta, odczekała chwilę i wreszcie powiedziała:

- Mam problemy... Po

czym zamilkła.



- Amfetamina, flaszka wódki, trawka, pięćdziesiąt grzybów i dwie piguły - zdiagnozował głośnym szeptem były mąż Szury, siedzący obok Nikity. Szura wcisnęła głowę w ramiona i usiłowała wepchnąć ręce do kieszeni, ale wciąż nie trafiała. Tomik upadł jej na podłogę. Publiczność zrozumiała już, że będzie ostro.

- **MAM PROBLEMY!!!** - wrzasnęła poetka, unosząc dłonie do twarzy jak na obrazie Muncha.

Jasia nie zdzierzyła, podczołgała się do sceny, wyszarpnęła tomik spod buta Szury i wściekłym szeptem zaczęła dyktować:

- Mam problemy z artykulacją...

- **MAM PROBLEMY z ARTYKULACJA...** - powtórzyła lepkim echem poetka, pogrążając się w transie.

- Nie będę mówić nie mogę nie będę nie trzeba - syczała Jasia.

- **NIE BĘDĘ MÓWIĆ NIE MOGĘ NIE BĘDĘ NIE TRZEBA** - powtarzała łysa Szura i powolutku nabierała nadziei, że jakoś przetrzyma ten koszmar.

W ten sposób dotarły do końca tekstu.

- A teraz, Szura, zamknij się i wracaj na miejsce - poleciła Jasia, zamykając książkę.

- **A TERAZ SZURA ZAMKNIJ SIĘ I WRACAJ NA MIEJSCE** - powtórzyła Szura głuchym głosem robota.

Wkurzona Jasia pociągnęła ją za nogawkę. Szura zwała się ze sceny wprost w objęcia byłego męża i odpłynęła.

Kilka lat później Nikita trafił przypadkiem na nowy tomik łysej poetki. Dramatyczny wiersz o problemach kończył się słowami: „**A TERAZ SZURA ZAMKNIJ SIĘ I WRACAJ NA MIEJSCE**”. Tak to Jasia, która nigdy nic nie drukowała, weszła do historii literatury rosyjskiej.

Mikrofon przejęło kolejne stworzenie z ogolonym łbem. Tym razem stworzenie było samcem. I, w odróżnieniu od żalosnej Szury, zachowywało się nader brutalnie. Radykalny poeta stanął w rozkroku i prezentując wszem i wobec faszystowskiego orła na masywnej sprzączce paska (pasek dzielił okazały brzuch na dwa oddzielne kałduny), zaryczał:

- Rosja to kurwa! Rosja to suka! Rosja to dupa! Rosja to biurwa!

Dwa brzuchy radykała miotaly się w różne strony: kiedy górny odjeżdżał na prawo, dolny przelewał się na lewo. Grube okulary nad wyszczerzonymi w patriotycznej furii zębami nieco się przekrzywiły.

wstańcie  
na głos ojczyzny-maci  
wszechkomuniści  
**PRAWDZIWI**  
unieście dumnie głowy spod walonka  
naprzód, na barykady  
na Berlin, na lewo, na wódkę  
na chama, na gliny, na dziady

Jasia siedziała na podłodze i bezczelnie ziewała. Radykał rzucał jej mordercze spojrzenia, rozdymał nozdrza i jak natchniona lama obficie opluwał jadowitą śliną zgniłe karty reakcji (oraz słuchaczy w pierwszym rzędzie):

- Brzozowym sokiem stalinowski sokół Obficie  
zrosi precedens na trawie...

Tu łysa Szura wróciła z podróży psychodelicznej, lekko machnęła ręką w stronę plującej lamy rewolucji i nieoczekiwanie trzeźwo powiedziała:

- **WYRZUCIĆ PRECEDENS.**

Jasia zaczęła klaskać. Lama zadławiła się resztką tekstu i śliną.

- Widzę, że obecni nie są w stanie docenić...

- Prawdziwej sztuki! - odpowiedziała Jasia.

Z tylnych rzędów dobiegł radosny rechot pisarza Rachmaninowa, sączącego wódkę przez złote zęby.

- **TAK, PRAWDZIWEJ SZTUKI!** - zaryczał radykał z taką miną, jakby miał zaraz rozszarpać Jasię na strzępy.

- Pomimo tych godnych pożałowania ataków ze strony tępych, ciemnych mas - pisarz Rachmaninow wpadł pod krzesło, ale nie przestał rechotać - wierzę, że mam tu, na sali, również zwolenników - (obecni podejrzliwie rozejrzeli się po twarzach sąsiadów). - Wzywam was, ludzie dobrej woli i niespokojnego, wiernego ojczyźnie serca! - Rachmaninow

cicho popiskiwał, wgrzyzając się w nogę krzesła - Wzywam was! Wstępujcie do Świętego Bractwa Oprychników! - lama uniosła grubą, wyprostowaną łapę, a po jej twarzy rozlała się fanatyczna ekstaza.

W tejże chwili z łoskotem otworzyły się drzwi. Publiczność, doprowadzona przez lamę do stanu głębokiego katharsis, odwróciła się w nadziei ujrzania co najmniej zmartwychwstałego Hitlera.

Ale w progu sali stał i kołysał się monotonicznie zwykły yeti w zgrzebnej, ludowej koszuli. Koszula była na niego za mała: rękawy kończyły się zaraz za łokciami. Yeti był cały owłosiony. W dłoni ścisnął napelnioną po brzegi szklanekę wódki. Wódka bluźnierczo kapiała na podłogę.

- Widmo rosyjskiego radykalizmu! - westchnęła zachwycona Jasia. Widmo obrzuciło obecnych mętnym spojrzeniem, odwróciło się na pięcie, przewróciło wieszak i wyszło. Pisarz Rachmaninow na czworaka podążył jego śladem.

Tymczasem na scenę wkroczyła potężna, przejrzała poetka w muślinowym szalu. Trudno powiedzieć, kto i po co zaprosił ją na „radykalny” festiwal. Muślinowa księżniczka przewróciła oczami i jęknęła:

- Boję się psów, boję się kotów, boję się myszy, boję się karaluchów.

..

W ostatnich rzędach wybuchła cicha histeria. Pank Płaksa chlipał, wciskając zasmarkany nos w kolana.

- Boję się oddychać, boję się mówić, boję się spać, boję się myśleć...

-To widać! - skomentował Rachmaninow, stojący w drzwiach z wydartą yetiemu szklaneką wódki.

- Boję się własnego odbicia w lustrze... - tu śmiechem ryknęła nawet wylogowana z rzeczywistości Szura.

- Boję się, że mnie zgwałcą...

- Nie bój się, to ci akurat nie grozi! - wrzasnęli chórem Rachmaninow i Jasia.

- Boję się, że zgwałcą mnie Lenin i Stalin! - podsumowała z naciskiem poetka i wyciągnęła kolejne wiersze.

Jasia jak oparzona wybiegła z suterenu.

- Pamiętaj, jak w *Biesach* złazi się takie paskudne towarzystwo, same cioty rewolucji? A jeden siedzi i obcina sobie paznokcie? Łeb tłusty, pazury walają się po stole, a ten peroruje o prawach ludu? - Jasia czytała, patrzyła i słuchała po swojemu, w jej głowie wszystko ewoluowało w groteskę. - No właśnie, a i tak ci dzisiejsi są gorsi! Jak czytam o tamtych, mdli mnie. A jak patrzę na naszych, chce mi się RZYGAC! RZYGAC!

**RZYGAC! I JESZCZE RAZ RZYGAC!**

Jasia była wściekła. Nikita bał się, że zrobi awanturę:

- Chodźmy już stąd!

- O, co to, to nie! Najpierw przeczytam im mój MALUTKI

**WIERSZYK LIRYCZNY!**

Jasia zacisnęła pięści i staranowała wzrokiem Bogu ducha winnego poetę Andrieja Rodionowa, który nadal etosowo spał na asfalcie. Pod bezwładne ciało ściekała brudna woda. Twarz poety ktoś troskliwie przykrył gazetą „Limonka”. W gazetę wściekle bębnił deszcz.

Jasię wywołali na samym końcu. Nikita przygotował się na najgorsze.

- Myślicie, że wystarczy wetknąć w bezładną sraczkę słowną kluczowe słowo „CHUJ” i tekst natychmiast staje się perłą sztuki awangardowej? Co tak gęby rozdziawiacie? To nie wiersz.

Rozmawiam z wami, wy radykalne PRECEDENSY - zaczęła Jasia, głęboko zaciągając się papierosem.

- Tutaj nie wolno palić - szepnął bojaźliwie zasłużony gej literacki, ale bez odzewu.

Jasia wyraźnie się rozkręcała. Na sali zapadła grobowa cisza.

- Krótko i na temat: WYRZUCIĆ PRECEDENSY! Szkoda o nich gadać.

A teraz powiem kilka słów tym, którzy faktycznie usiłują pisać poezję. Świat zmienił się już tysiące razy! A wy wciąż brzdąkacie na gęsłach i coś tam podśpiewujecie jak Homer! Wasz język potrafił może opisywać świat, ale dwieście lat temu! A teraz mamy dwudziesty pierwszy wiek! Każda epoka wymaga nowych słów! Trzeba rozmawiać ze światem w jego własnym języku! A nasz dziwny, nowy świat rozumie tylko język okrucieństwa i gwałtu! Język bezpośredniego, destrukcyjnego działania! **DZIAŁANIA**, a nie słów! Słyszycie, co mówię, koledzy?! Nie potrzebujemy już słów! Najgenialniejsze dzieło Nowej Sztuki objawiło się światu 11 września 2001 roku! Kto z was ma odwagę, żeby je powtórzyć?!

Jasia przerwała, żeby złapać oddech. Publiczność milczała.

- Dobra, coście się tak wystraszyli? Na koniec przeczytam wam mały wierszyk liryczny...

Ludzie z ulgą poruszyli się na krzesłach. Pisarz Rachmaninow jednym haustem dopił wódkę.

- Mój zaprzyjaźniony pank, Czacha, produkuje hobbystycznie bomby. Całkiem nieźle mu idzie. Niedawno podarował mi jedną. Leży tam, o, w tej żółtej torebce.

Podstarzały gej literacki odskoczył od torebki zwinnie jak pantera. Jasia spojrzała na zegarek.

- Ci, których nie interesuje Nowa Sztuka, mają pół minuty na opuszczenie sali. Czas: start...

I wówczas zdarzyło się coś nieoczekiwanego.

- Wiedziałam, że to idioci, ale żeby aż tacy... - tłumaczyła się potem bohaterka wieczoru.

Na sali wybuchła panika. Wszyscy jednocześnie poderwali się z miejsc i natychmiast zakorkowali wyjście. Strachliwa poetka złapała się za serce i

powolotku osunęła z krzesła. Były mąż wirtualnej Szury miotał się pod sceną i wołał do Jasi:

- Błagam cię! Jestem na to za młody! Nawet nie zdążyłem zostać sławny! Przestań!

Kilku panków z ostatniego rzędu stworzyło żywą piramidę i usiłowało dosięgnąć okna pod sufitem. Obok stał pisarz Rachmaninow i cynicznie nucił „No future”. Tylko on jeden zachował całkowity spokój. Brzuchaty członek Świętego Bractwa Oprychników naskoczył na Jasię i usiłował wykręcić jej ręce - pewnie żeby przekazać terrorystkę władzom. Nikita i Rachmaninow rzucili się na niego z pięściami.

Zbiorową historię przerwał wybitny krytyk literacki Ku-roczykin. Podszedł do Jasi, tkwiącej w niejakim oszołomieniu pośrodku sceny, uściskał jej dłoń i donośnie oświadczył:

- Gratuluję! Tylko pani prezentacja była naprawdę radykalna i awangardowa. Zadziałała dosłownie jak bomba!

Do poetów dotarło, co powiedział krytyk, i przestali uciekać. Jednak od tego wieczoru Jasia miała bana na jakiegokolwiek występ. Kariera literacka art-terrorystki została zduszona w zarodku.

Po imprezie kilka stworzeń z radykalnego bestiariusz powlokło się z Jasią pić jabola na Patriarszych Prudach. Nikita siedział na ławce i od czasu do czasu mdlał. Łapska Świętego Oprychnika jednak go dosięgły. Lekki wstrząs mózgu i łyk „Trzech siekier” wprowadziły Nikitę w stan bliski nirwanie. Dlatego też rano pamiętał tylko trzy epizody.

Epizod pierwszy - Rachmaninow mówi do Jasi:

- Jesteś jeszcze młoda i głupia. Jak urodzisz dziecko, to się ustatkujesz. Zaraz ci rewolucja z głowy wywietrzeje.

Jasia właśnie wzięła wielki łyk wina i pluje nim na dźwięk słowa „ustatkujesz”. Rachmaninow wyciera twarz rękawem. Gdzieś spoza kadru słychać oklaski.

Epizod drugi: ktoś prowadzi za uzdę białego konia. Rachmaninow bandycko szczyrzy zęby, odpycha przerażoną dziewczynkę ze szkółki jeździeckiej, wciska jej w dłoń szklankę i podsadza Jasię na siodło. Jasia gna w ciemnościach na białym koniu. Dziewczynka żłopie wino i zasypia obok Nikity.

Epizod trzeci: szerokie ramiona pisarza Rachmaninowa, skaczący przed oczami asfalt i głos Jasi:

- Wstawaj! Gliny idą! Trzymaj się prosto!

Z Rachmaninowem chyba też go zdradziła.

Kiedyś na ulicy, niedaleko metra Kitaj-gorod, ktoś delikatnie wziął Nikitę pod ramię.

- Gwiazdeczko! Wiedziałam, że znowu się spotkamy! - za-szczebotała matuszka, wijąc się i całym ciałem przylepiając do Nikity.

- Ojoj, ta mina zatwardziałego heteryka. Nie mam szans? Żadnych? Trudno... Chodź przynajmniej na kawę, opowiem ci straszną historię!

Nikita pomyślał, że może historia jakoś tam dotyczy Jasi, i pozwolił zaciągnąć się do kawiarni. Ale oczywiście chodziło wyłącznie o matuszkę, czyli, jak okazało się w trakcie, niejakiego Griszę.

- Nie bój się, przecież cię nie zjem! Tylko porozmawiamy! Jestem słabą kobietką i sama okropnie się boję. A ty jesteś silnym mężczyzną,

musisz mnie uspokoić i mądrze doradzić! -Grisza kręcił się na krześle i ze znawstwem zerkał na facetów.

Zerkanie nie przeszkodziło mu w opowieści. Grisza był temperamentny, więc zanim dotarł do meritum, Nikita chcąc nie chcąc poznał furę szczegółów z jego życia intymnego.

- Dzisiaj rano, jeszcze przed tym wszystkim, poszłam do cerkwi. Mój kochanek jest tam diakonem. Pomiziali-śmy się...

- Gdzie? W cerkwi?!

- W schowku - Grisza skromnie spuściła oczy. - Tylko nikomu nie opowiadaj, mój ojczulek jest okropnie zazdrosny

o duchownych, raz złapał mnie z jednym takim i mało nie udusił. Na świeckich patrzy przez palce, mówi, że to nie zdrada, takie tam, małe cudzołóstwo, i z miejsca odpuszcza...

Nikita skoczył do drzwi, ale Grisza wczepił się w niego jak bulterier i usadził z powrotem.

- Nie gniewaj się, żabko, już przechodzę do rzeczy. Jest taka stronka w sieci, na której *my...* - matuszka znacząco mrugnęła wymalowanymi powiekami - no wiesz, wieszamy ogłoszenia, jak chcemy kogoś poznać. Niedawno tam napisałam, rozreklamowałam każdą dziurkę osobno, zostawiłam telefon. No i wczoraj odbieram: miły, męski głos. Ja w sprawie ogłoszenia, mówi, chciałbym się spotkać, będę tam i tam w żółtej ładzie. Dobra. Odpicowałam się i idę. Patrzę, stoi żółta łada, w środku dwóch klientów. Im więcej, tym lepiej, myślę,

1 wsiadłam. A gość ciach! - nacisnął guzik i zamknął wszystkie drzwi. I obaj tacy przypakowani, a mordy, że nie daj Bóg. Przestraszyłam się i pytam: „Chcecie mnie zgwałcić?”. A oni na to uprzejmie: „Mamy do pana, Grigoriju Aleksandrowiczu (odpadłam, nikt nigdy się tak do mnie nie zwraca!) sprawę, konkretnie - propozycję, i to bynajmniej nie z gatunku erotycznych”. I podstawiają mi pod nos jakieś kwity. Czytam i oczy mi wyłażą ze strachu. „Federalna Służba Bezpieczeństwa”!

Nikita, który dotąd ledwie słuchał, raptem poczuł przyływ zainteresowania. Matuszka rozejrzała się, przewiesiła przez stolik i gorąco zaszeptła:

- I jak nie jebną! „Ma pan, Grigoriju Aleksandrowiczu, szerokie znajomości we wszystkich warstwach społecznych, różni ludzie się przez pana przewijają...”. Dosłownie tak powiedzieli! *Przez pana!* Bezwstydnie bydlaki!

Chcemy, mówią, żeby nam pan opowiadał o różnych posłach, członkach rządu, biznesmenach i gwiazdach show--biznesu, jeśli trafią się panu po drodze... A co tu, pytam, do opowiadania, że mnie taka trzpiotka, że mało kiedy zdążę zapytać nawet o imię, a co dopiero o tajemnice państwowe. Oni w śmiech i mówią: „Tajemnice państwowe znamy sami, od pana oczekujemy prostej informacji - kto ze znanych ludzi...” - tutaj ich przytknęło, pewnie szukali odpowiedniego słowa, żeby nie rzucić pedałem, i w końcu znaleźli: „... należą do mniejszości seksualnej!”

- I co, zgodziłeś się... zgodziłaś? - Nikita zaplątał się i zaczerwienił. Matuszka pogłaskała go po ręce i z uśmiechem westchnęła.

- Włączyłam tryb słodka idiotka. Nikogo nie znam, mówię, biorę niedrogo, pracuję na ulicy, jaki poseł pójdzie na ulicę... Ale nie odpuścili. Szarpali mnie tak z pół godziny. Oplułam się od stóp do głów, wytarzałam w błocie, a oni nic, dalej, z naszych danych, mówią, wynika co innego... Odesłałam ich do Apolla. Niech no te federalne byki przerzną jej histerię, zobaczymy, jak po czymś takim będzie krzywić tłustą mordę i robić miny angielskiej królowej! W końcu dali spokój. Już nigdy nie podam w ogłoszeniach swojego telefonu!

- Myślisz, że wzięli twój numer z ogłoszenia? - spytał Nikita naiwną matuszkę.

Grisza zakrztusił się i spojrzął na niego z przerażeniem. Do Nikity dotarło, że zamiast pocieszyć, wystraszył „słabą kobietę” na amen, i spróbował ratować sytuację:

- Może sam im kiedyś daleś, przecież nawet imion nie pamiętasz, a oni się nieźle maskują, taki zawód...

- Nie! - matuszka prawie płakała. - Nigdy nie zapomnę tych paskudnych pysków! Na sto procent widziałam ich pierwszy raz w życiu!

Potem Grisza jakoś się pozbierał i pewnym tonem oświadczył:

- Koniec balu! Zanim dynia zamieni się w tampon, Kopciuszek spierdala, gubiąc pantofelki! Wyrobię paszport, w Norwegii mieszka mój były, wielka miłość, jest nocnym portierem w hotelu. Jedziesz ze mną? Dostaniemy azył polityczny jako prześladowane mniejszości? No co?

Nikita delikatnie odmówił.

17

Katastrofa przyszła zniemacka. Spędzili z Jasią zwyczajne, fantastyczne i zabawne trzy dni. Jasia wyłączyła komórkę (rzadkość!) i nigdzie się nie spieszyła.

Co wieczór szli na spacer. Palili trawkę w parku, na oczach flegmatycznych mamusiek z wózkami i spiętych łyżwiarzy, orzących zamrożone jezioro tak zacięcie, jakby coś w nim zgubili.

Biała latarnia wyławiała ze śnieżnej zadymki rozbawioną Jasię w przekrzywionym berecie, mówiącą do Nikity:

- Nie kaszłaj mi w szalik, bo upadnę!

Następna latarnia była żółta. Objawiła Jasię-Amazonkę, ścigającą leniwego gawrona z krzykiem:

- Towarzyszu ptak! Dlaczego nie lecicie na południe?

Gawron robił dwa kroki w bok i dumnie milczał, jak „szlachetny sir w Izbie Lordów”. Jasia radośnie odpowiadała w jego imieniu:

- Dlatego, że zapuściłem tłuste dupsko!

Trzecia latarnia była zepsuta. Kontur Jasi tajemniczo szeptał:

- Na górze stał sobie klasztor. W klasztorze mieszkały mo-nachy. Jedna monacha uciekła... Patrz, tam się skrada!

Z ciemności zbliżał się do nich człowiek w czarnym inkwizytorskim kapturze.

- Nie wiecie, gdzie tu jest hotel Górnik? - pytał uciekinier. Jasia chichotała:

- Brzydka monacha! Czy my wyglądamy na górników? Człowiek w kapturze niepewnie przestępował z nogi na nogę, a Jasia mówiła:

- To jeszcze nic. Pewnego razu Święta Hipopotam i Wowa Brudne Skarpetki, ten, który był rok niżej od nas (pamiętasz?), stali na strasznym kacu na ulicy i myśleli, gdzie by zaklinować. Porządni Rosjanie, wiadomo. A tu podchodzi do nich jakaś baba i uprzejmie pyta: „Przepraszam, czy państwo są Chińczykami?”

Później szli korytarzem metra, podobnym do statku kosmicznego, i Jasia krzyczała w zachwycie:

- Łap liliputów! Metro to takie Solaris!

W tymże przejściu Nikita mdlał i Jasia siedziała na kaflach posadzki, trzymając jego głowę na kolanach. Ktoś machinalnie wrzucił do leżącej obok czapki banknot.

W nocy siedzieli u Nikity w kuchni i jedno przez drugie opowiadali sobie jakieś filmy. A potem Jasia wyjechała. I z Nikitą stało się to, co niemożliwe. To, co chciał wykrzyzczyć całemu światu. I o czym absolutnie nikomu nie mógł opowiedzieć.

18

- To niemożliwe niemożliwe niemożliwe - mówił Nikita do własnego odbicia w nocnym oknie.

- Ale się zdarzyło - odpowiadało odbicie.

- To najgorsze, co mogło mi się przydarzyć - mówił Nikita.

- I przydarzyło się - stwierdzało spokojnie okno. Starannie

posklejane nowe życie rozsypało się w pył. Nie

było już żadnych myśli. Było tylko poczucie kosmicznej pustki, od której wszystko w środku wyło i szło w pizdu. Z którym obudził się na kanapie głupiej Anieczki, instynktownie czując, że Jasia odeszła.

Jeśli ktoś raz rozbije twoją samotność, nigdy już nie nauczysz się jej z powrotem. To jak z rzucaniem palenia: wcześniej czy później zapalisz.

To jak najmocniejszy i podstępny narkotyk: wystarczy wziąć raz, i całe życie na nic.

Nie pomaga nawet świadomość, że człowieka, który przebił się do ciebie, już nie ma. Że zmienił się nie do poznania. I że nigdy już nie zdoła wkręcić cię w swoje czary. Nawet, jeżeli będzie chciał. Zresztą wcale nie chce.

I nikt inny, oczywiście, też nie zdoła.

Wyrok jest ostateczny i nie podlega zaskarżeniu.

Nikt nie zdoła wyciągnąć cię z doła.

To niemożliwe niemożliwe niemożliwe. Ale się zdarzyło.

Czasami masz ochotę krzyzczyć: „Lepiej, żeby cię nigdy nie było!”.

Ale wiesz, że to niezbyt mądre.

I powtarzasz jak modlitwę, jak zaklęcie, jak mantrę: „Dobrze, że jesteś. Dobrze, że to się zdarzyło. Dziękuję, że mnie zabiłaś, dziękuję, dziękuję, dziękuję!”.

LEPIJ, ŻEBY CIĘ NIGDY NIE BYŁO!

Lepiej, żeby Nikita poszedł wtedy na wykład z archeologii. A nie siedział na parapecie i czytał Nietzschego. O właśnie, już wiadomo, czyja to wszystko wina! Zaratustry!

Wtedy ta zabawna dziewczyna z zielonymi włosami i w długim czarnym płaszczu pożyczyła zapalniczkę od kogoś innego. A potem, może tego samego dnia, poznała kosmonautę, króla Tunezji, mistrza świata w snowboardzie, hiszpańskiego lotnika, japońskiego szpiega... Kogokolwiek! Przypadki zawsze zwały się na nią jak z rogu obfitości. Poznała i wyjechała byle dalej od nudnej uczelni, gdzie zimą było zimno nawet w kurtce a w długopisach zamarzał tusz.

I nigdy nie wbiła się na pełnym gazie w życie i los sympatycznego studenta Nikity, który często mdłał.

Ale się zdarzyło.

Dziewczyna wyszła zza zakrętu korytarza i Nikita zadrżał. Poznał ją od pierwszego wejrzenia. Nie pokochał, jak to piszą w powieściach. Po prostu jej twarz, której nigdy wcześniej nie widział, *była mu już znana*. I to tak, jak twarz najbliższej osoby, w którą wpatrujesz się całe życie.

Dziewczyna uśmiechnęła się do Nikity. Też jak do starego znajomego. I szła wprost na niego.

Nawiasem mówiąc, na sąsiednim parapecie siedział weteran rozmaitych filologii, niejaki Dynia; studiował już dwunasty rok i potrafił trzy minuty perorować, używając wyłącznie nieparlamentarnych słów i ani razu się nie powtarzając. I mogłaś poprosić go o zapalniczkę, ale nie, poprosiłaś mnie, właśnie mnie.

A potem pobiegnęła palić w męskiej toalecie, bo byłaś na pierwszym roku, dopiero od tygodnia, i nie wyciałaś jeszcze, dokąd chodzą na papierosa przyzwoite dziewczyny.

A po powrocie zamiast oddać zapalniczkę wylałaś na Nikitę całe wiadro wykrzykników i niewiarygodnych historii o Lii Achedżakowej, „która też wiecznie ma pecha”.

- Raz na próbie wpadła do rowu dla orkiestry i złamała nogę! Zawiesili spektakle! Wszyscy czekali, aż jej zdejmą gips! W końcu noga się zrosła i Achedżakowa poleciała na próbę! I tak leciała, że pośliznęła się i złamała drugą nogę! Wyobrażasz sobie! I znowu wszyscy czekają! Wreszcie wyzdrowiała! Reżyser przysłał po nią swój samochód, żeby znowu coś jej się nie stało, i niby wszystko dobrze, zaczynają próbę, aktorzy grają, a tu bach! - dekoracja się łamie i leci na scenę! I wszyscy zdążyli odskoczyć! Oprócz Achedżakowej! Podnoszą deski, spanikowany reżyser pyta tylko: „No, Lia, którą nogę tym razem złamałaś?”. A ona piszczy żałośnie spod sterty dykty: „Rękę!”...

Wszystko to, jak okazało się po półgodzinie, opowiadała dlatego, że zapalniczka Nikity wybuchła jej w dłoni. Za co okropnie się wstydziła. Nikita śmiał się i nie zauważył czerwonych świateł alarmowych: „Uwaga! Rozhermetyzowanie!”.

A samotność już wyciekała. Samotność pękała. I dziewczyna Jasia („rodzice oczekiwali syna i dziewięć miesięcy rozmawiali z Jarosławem”) niezauważenie dla samej siebie, a tym bardziej dla Nikity, sączyła już w jego żyły najmocniejszy, podstępny narkotyk. Bez którego Nikita nie będzie już umiał żyć.

To niemożliwe niemożliwe niemożliwe. Ale się zdarzyło.

I wtedy przyszedł esemes, i Nikita chciał krzyknąć jeszcze głośnie. Jasia wysłała z pociągu zakazane, mordercze słowa: „Mój chłopczyku! Chcę do ciebie! Niech ich wszystkich! Siedzę i płaczę! Zawsze chciałam tylko do ciebie!”

Dalej było całkiem już niecenzuralnie.

Czułe słowa, któryjni kiedyś zwracali się do siebie.

Słowa wymazane z pamięci.

Błyskawicznie wymazane lata wegetacji bez niej.

To niemożliwe niemożliwe niemożliwe. Ale się zdarzyło.

A nad ranem Jasia zadzwoniła i, dławiąc się łzami, powiedziała:

- Nigdy więcej do mnie nie dzwoń! I nie szukaj mnie! Nie próbuj się ze mną spotkać! Tak będzie lepiej dla wszystkich!

**BO TO NIEMOŻLIWE! NIEMOŻLIWE!! NIEMOŻLIWE!!!**

- Jasia, nie płacz.

- Bo ja też cię **KOCHAM!**

- Nie płacz.

- Obiecaj, że nie będziesz dzwonił.

- Obiecuję. Tylko nie płacz.

Dotrzymał obietnicy. Nie dzwonił już więcej. Nie próbował dowiadywać się, co z nią. Ale ciągle miał nadzieję na przypadkowe spotkanie. Gdzieś w przejściu metra. Na dworcu. Na dnie Morza Śródziemnego. W kraterze Wezuwiusza. W dowolnym, przygodnym miejscu kuli ziemskiej.

Nie próbował dowiadywać się. Więc nie wiedział. A Rosz-czyn wiedział. I Ala wiedziała. Ale nikt nic nie mówił. I nikt nigdy. Nie powiedział Nikicie. Że Jasia żyła wtedy z jakimś lekarzem, którego imienia historia nie zachowała. I że lekarz miał w lodówce mnóstwo tabletek. I że poszedł tej nocy na dyżur. I że Jasia była sama. I że, rozmawiając z Nikitą „ostatni raz”, popijała szampanem paczkę fenazepamu, garść temaze-pamu i dwa listki relanium - żeby zasnąć. I że potem zasnęła. I że śpi do dzisiaj.

19

Roszczyn powiedział: „Przyznaj się - przecież nie szukasz Rosji, tylko próbujesz uciec sam od siebie. Od dziur, które zrobiła ci panna z kolorowymi włosami”.

Dziewczyna w metrze powiedziała do koleżanki: „To nie seks. To modlitwa. Nasze ciała się modlą. Jakiś stary rytuał, ekstatyczna tajemnica. Wiesz, to nie orgazm, to kontakt z Bogiem online. W takich chwilach dosłownie umieram z rozkoszy, a mąż trzyma mnie mocno i krzyczy: wracaj!... Oj, weź zobacz, chyba tusz mi się rozmażał?”.

Chłopiec w pociągu powiedział do podpitej mamy: „Znowu nie dopilnowałem, tak? Tak?! Wyhaczyłaś kogoś w wagonie restauracyjnym? Co ja z tobą mam! No, śpij już, bo jutro głowa będzie ci pękać. Myślisz, że te gachy przyniosą ci piwo? To myśl dalej! Masz tylko mnie, zapamiętaj raz na zawsze, tylko mnie!”

Sprzedawczyni pomidorów powiedziała: „Gospodynie! Porządne gospodynie przychodzą do mnie po przepisy na szczęście rodzinne! Tanie pomidory z Mołdawii! A te wszystkie latawice i krasawice nigdy nic nie kupią, niepotrzebne im moje pomidory! Gospodynie! Dupy nie gospodynie! Co za idiotki! Bezmózgie! Tępe makrele! Nie chcą kupować pomidorów! Oj, nie zaznacie wy szczęścia w życiu, nie zaznacie!”.

Ojciec Borys, który otworzył sierociniec w uralskim miasteczku Wierieszczagino, powiedział: „Tylko mnie nie pytajcie, skąd wzięłam tyle dzieci! Mam tu całą chińską republikę ludową! Już dawno przestałem liczyć. Wiem, że pięcioro zrobiłem sam, pięcioro adoptowałem, a resztę - nie pamiętam. Jestem prostym człowiekiem, gdzie mi do kalkulacji! Ale miłości wystarczy dla wszystkich!”.

Wszystko zdarzyło się, jak zwykle, przypadkiem. Zaczął padać deszcz. Nikita schował się pod daszkiem przy wejściu do wypasionego apartamentowca. Stalowe drzwi cichutko skrzypnęły i uchyliły się, ale w połowie drogi straciły cały impet. Nikita pociągnął za klamkę i wywłókł na świat boży malutką staruszkę.

Przygarbiona do ziemi niosła wiadro brudnej wody.

- Podłogi pani myje? - jęknął Nikita, wyjmując z powykęcanych palców aluminiową rączkę.

- A myję, myję! - odpowiedziała radośnie staruszka. - Są jeszcze na świecie dobrzy ludzie!

- Ile ma pani lat? - Nikita chlusnął wodę w krzaki.

- Będzie już, dzięki Bogu, osiemdziesiąt!

- Siedziałaby pani w domu. Pora odpocząć. Podłogi kto inny pozmywa.

- Może wejdiesz? Przeczekasz deszczyk. Zimno tu na dworze.

Taisia Josifowna pozwoliła Nikicie nosić po piętrach wiadra, ale szczerze za nic nie chciała mu powierzyć.

- Nie może pani wysiedzieć w domu? - wypytywał Nikita.

- Ano nie, bo nie mam.

- Czego pani nie ma?  
- Tego nie mam, co cię interesuje.  
- Jak to?  
- Miałam dom w Groźnym. Już dziesięć lat, jak go zbombardowali. Przyjechałam do Moskwy, do braci, sami mnie zapraszali.

- Ico?  
- Jak co? Wiadomo, co. Komu teraz potrzebna gęba do wykarmienia. Dzieci mają dorosłe, wykształcone. Niech się

o nią, mówią, państwo zatroszczy. No to poszłam sobie.

- I gdzie pani teraz mieszka?  
- A tutaj. W nocy.  
- Na klatce?  
- Nie, czemu zaraz na klatce? W pokoju recepcjonistek. Chodzą na noc do domu, a ja śpię na kanapie. Wszyscy zadowoleni: ja mam ciepło, a one dostają pieniądze za całą dobę.

- A w dzień?  
- W dzień myję podłogi. Piętnaście piętér i parter. W niektórych mieszkaniach doglądam chorych, kiedy rodzina pracuje. Daję im obiad. A przy okazji sobie też coś ugotuję. Ani się obejrzę, już wieczór. O, na świecie jest dużo dobrych ludzi!

- A państwo?  
- Też wymyślił! Co mi tam państwo? Kim ja dla niego jestem? Dokądkolwiek pójde, wszędzie tak po chamsku: „I po co przylazłaś do Moskwy?”. Chciałam papiery na uchodźcę, nie dają, żądają jakiegoś zaświadczenia, po które trzeba jechać do Groźnego. Przecież nie pojedę. Rozsypię się po drodze. No

1 tak sobie żyję, bez papierów.

„Przepraszam panią” - o mało nie powiedział Nikita, ale słowa uwięzły mu w gardle.

Z mieszkania obok wyszedł gruby nastolatek z bulterierem. Na jego widok Taisia Josifowna nerwowo wyrwała Nikicie wiadro z rąk, złapała szczotkę i wpadła na balustradę schodów. Balustrada żałośnie zabręczczała.

Bulterier przysiadł na krzywych łapach i nasrał na podłogę. Nastolatek zarechotał i strzelił gumą do żucia. Nikita miał ochotę zamordować ich obu. Ale akurat nadjechała winda i bestie zniknęły.

- Może już pójdziesz, co? Przestało padać - powiedziała szybko Taisia Josifowna. - Żeby mnie tylko stąd nie wyrzucili. Powiedzą, że obcych wpuszczam, kim ja tutaj jestem?

Nikita trzymał się parapetu. Podłoga i sufit zamieniały się miejscami. Głos staruszki dobiegał jak z dna studni. Nikita sprężył się i wypłynął.

- Proszę pani, ja... my.  
- Idź już, idź - staruszka popychała go w stronę drzwi.  
- Proszę się trzymać, już niedługo! - zawołał, odwracając się w progu. - Nie zawsze tak będzie! Na pewno coś wymyślę, obiecuję!

W odpowiedzi zza krzaków doleciał gardłowy warkot. I wysunęła się zadowolona morda bulteriera.

- No i co możesz zrobić? Będziesz codziennie nosił jej te wiadra? Zabierzesz ją do swojej rodzinnej nory, z której cię lada chwila wyrzucą za długi? Polecisz do urzędów, zbierać te zaświadczenia? Napisziesz patetyczny artykuł do gazety? Gadanie! Od gadania biednym nie przybędzie! - Junkier był nastawiony krytycznie i miła rozmowa przy chianti wyraźnie się nie kleiła.

- To co proponujesz? Butelkę wina? A jak nie pomoże, to dwie? - wybuchnął Nikita. Warkot bulteriera naładował go niewyczerpanym zapasem wściekłości.

- Proponuję nie rwać włosów z głowy. I przede wszystkim nigdy nie obiecywać nic, czego nie możesz dotrzymać - odpowiedział spokojnie Junkier, oglądając kieliszek pod światło. - Nie jestem cynikiem. Jestem realistą.

Z każdą minutą nadzieja na dotarcie do stacji kolejowej w Da-niłowie robiła się coraz bardziej rozmyta. Jak droga polykana przez deszcz. W końcu wiejski autobus ugrzązł na amen, szarpnął się kilka razy i oklapł. Zgasły światła, pasażerów zalała głucha, ciemna ojczyzna.

- Dupa! - powiedział znużonym i dziwnie ciepłym głosem kierowca. - Kto się czuje na siłach, niech idzie do Kriestów, o dziewiątej jest tam jeszcze autobus do Kinieszmy, a kto nie da rady - tu zaraz są Gorki. Ze dwa kilometry. Pewnie można przenocować w szkole.

W okna gniewnie uderzyły strumienie deszczu.  
- Pierze żabami! - skomentowała półgłosem gruba kobieta z koszykiem antonówek, przyciskając czoło do płynącej szyby.

Wszystkie te zdania brzmiały w ciemnościach znacząco i celnie, słowa trafiały w serce, w punkt, w samą istotę życia.

- Tak, tak, rozwarły się upusty nieba... - westchnęła drobna staruszka i leciutkimi gestami poprawiła chustkę.

Czarny wiatr skowyczał wokół nieruchomego cielska autobusu. Kierowca palił cuchnącego papierosa, słuchał symfonii deszczu i chyba też rozmyślał o czymś najważniejszym. Jakiś czas panowała nabożna cisza.

- Jechaliśmy sobie, jechali, a tu raz! - i siedzimy w arce Noego, a Gorki to góra Ararat - powiedział dziesięcioletni chłopiec, siedzący obok drobnej staruszki. Staruszka westchnęła jeszcze głośniejsze i zaczęła się szeroko żegnać.

- Babciu Polu, ten wasz Wania mądry jakiś, jak na takiego bąka - włączyła się jeszcze jedna pasażerka arki, ledwie dostrzegalna w gęstym mroku.

- Oj, nawet mi nie mów, Katierina, nawet nie mów! Sama już nie wiem, co z nim robić! Czasami jak coś powie, no starzec z siwą brodą! Jakby skończył jaką akademię! Boję się, Katierina, oj, jak ja się boję! Baby mówią: długo taki nie pociągnie! - słowa sypały się z małych ust staruszki jak ziarenka grochu: malutkie, okrągłe i rozskakane.

- Same, baby, jesteście brodate. Przez całe życie nie powiedziałyście nic mądrego - mruknął Wania i odwrócił się do okna z jakimś faktycznie mało dziecięcym smutkiem.

Nikita pochuchał na szybę i narysował Wani uśmiechniętą buźkę. Wania skrzywił się i wzruszył ramionami. Potem starannie zlustrował Nikitę i wyzywająco fuknął:

- A ciebie skąd tu przywiało? Szukasz zapadłej wioski, żeby na stare lata pożyć bogobojnie? Błąd! Nie ma na co czekać, a nuż umrzesz po drodze. I dusza zmarnowana. Nie wpuszczą cię do raj!

Babcia Pola rzuciła się na Wanę:  
- Przestań, dziecko, przestań! Po co zaczepiasz obcych? Oj, oj, poczekaj, wszystko ojcu powiem, zaraz nauczy cię, jak szanować starszych! Przepraszam pana, bardzo pana przepraszam, wyrodney dzieciak, co zrobić...

Staruszka nerwowo obciągała kurteczkę Wani i bojaźliwie zerkała na Nikitę. Wania wyrwał się z objęć babci i uparcie ciągnął:

- Ciekawe, kto cię na tę starość będzie na wsi karmił? Kto bydlę oporządzi, kto drew narąbie? Myślisz, że krowa sama się wydoi i przyniesie ci na stół dzbanek mleka, jak kelnerka w białym fartusku? Nic z tego, o bydlę trzeba dbać jak o własną duszę, a to ciężka robota, nie dla starca.

- To jak, mam zaczynać od razu? - zapytał całkiem poważnie Nikita.  
Wania spojrział spode łba, jakby sprawdzał: kpi czy mówi serio, i nagle szeroko się uśmiechnął.

- Im wcześniej, tym lepiej! - i dorzucił całkiem już łagodnie. - To co, może pójdziemy do Górek? Jeżdżę tam do szkoły. Niedawno przypłatał się jeden taki. Duszę ratuje. I śmieszno, i straszno: to wiadro w studni utopi, to buty w błocie pogubi. Mieszczuch, szkoda gadać!



W drodze do Górek Wania całkiem się oswoił, złapał Nikitę za rękę i mówił bez przerwy, przekrzykując wiatr, który unosił jego słowa w stronę „brodatych bab”, brodzących w zimnych kałużach. Kierowca został nocować w autobusie w towarzystwie koszyka antonówek.

Dziesięcioletni Wania pospiesznie relacjonował Nikicie swoje życie i światopogląd:

- Ciągle myślę. Nie potrafię przestać. Całymi dniami. Na lekcjach też myślę. I jak ogródek podlewam. I jak poję cielaki. Nawet we śnie. I nie mam potem komu opowiedzieć. Same baby. Jak zaczną zawodzić: „długo nie pociągnie, oj, długo nie pociągnie!”. Boją się, bo jestem za mądry. A ja myślę, że gdyby ludzie nie zamulali sobie mózgow, też byliby mądrzy. Mózg trzeba ćwiczyć, jak biceps. Czasem też przecież nie chce mi się myśleć, wolałbym zapaść w śpiączkę, rżec przed telewizorem z jakichś kabaretów. Ale się nie poddaję. Siłą się zmuszam, i myślę. Tylko to mnie ratuje.

- O czym tak cały czas myślisz?! - krzyknął Nikita w gęstą ścianę wiatru.

- O wszystkim. O tym, jak działa świat. Po co żyjemy. Ale najczęściej, oczywiście, o Bogu. Na przykład o tym, po co zsyła różne katastrofy, w których ginie mnóstwo ludzi. Przecież nie wszyscy grzeszą, jak w Sodomie, są wśród nich małe dzieci, niemowlaki, z czystą jeszcze duszą.

- No to po co? - zapytał Nikita, który też często o tym myślał.

Wania zamilkł, przeczekując silny poryw wiatru. Nikicie nagle zrobiło się nieswojo. Zrozumiał, że oczekuje od dziecka odpowiedzi na wszystkie nurtujące go pytania.

- Tego wciąż jeszcze nie wiem - powiedział powoli Wania. - Ale to, że nie wiem, nie znaczy, że wszystko to nie ma sensu.

Do Górek dotarli całkiem już po ciemku. Zatrzymali się w szkole. Wania z miejsca zasnął na ławce pod ledwie widocznym portretem Puszkina. Nikita wyszedł na spacer. W oknie biura kolchozu paliło się światło. Jakaś dziwnie znajoma z kompletnie innego kontekstu postać paliła, wyglądając przez lufcik. Postać odwróciła głowę w stronę Nikity i raptem głucho krzyknęła, zwała się z parapetu i pograżyła w mroku. Na drewnianych schodach załomotwały bucior i po chwili na szyi Nikity zawisła matuszka.

Pięć minut później nadal wisiła, radośnie popiskując i wymachując głową, jak szczeniak, któremu trzmiel wleciał do ucha. Zaskoczony Nikita też stracił dar mowy i mógł tylko niepewnie uśmiechać się w ciemność.

Griszę obejrzał dopiero w biurze, do którego weszli po drewnianych schodach, ziejących dziurami po spróchniałych stopniach. Niedzisiejsza „królowa ulicznic” wyglądała zabawnie: gumofilce oblepione błotem, watowane spodnie i płaszczek Yohji Yamamoto, kupiony w jednym z najdroższych butików w Moskwie. Na twarzy Griszy, niegdyś śmiertelnie bladej pod warstwami pudru, pałał zdrowy, wiejski rumieniec. Kolczyk z wargi gdzieś zniknął.

Grisza, który skończył płatne studia na nowoczesnym kierunku „marketing i reklama”, był teraz księgowym w podupadającym kolchozie „Kolos”. Wstawał o szóstej rano i wrzeszczał w zepsutą słuchawkę telefoniczną, obwiązaną sznurkiem:

- Wujaszku Pietio! Cielaki nam wczoraj padły, nie trzeba wam czasem mięsa?

Matuszkę zawsze ciągnęło do spraw duchowych, służyła więc przy nabożeństwach w miejscowej cerkwi. Ściągnął ją do Górek niejaki ojciec Andriej.

<sup>x</sup> - Tylko nie myśl sobie nic takiego! - zachnął się Grisza. - Kiedyś różnie bywało, ale nie z ojcem Andriejem! Panie Boże, uchowaj... Zresztą żałuję za grzechy. I w ogóle niedługo się ożenię. Wszyscy mnie tu swatają. Jak mam im wytłumaczyć, że nie chcę dziewczyny? Trudno, będę się leczył!

Ojca Andrieja Grisza poznał przez internet, kiedy po spotkaniu z FSB przepytwał znajomych, jak tu emigrować „dokądkolwiek”. Norwegowie nie dali mu wizy. Ktoś poradził „zgrzywać pielgrzymą”, że niby konsulaty patrzą na takich przez palce, więc Grisza włączył na prawosławne forum i naciął się na ojca Andrieja, a ten napisał synowi marnotrawnemu: „Po co

masz uciekać za granicę, przyjeżdżaj do nas, do Górek, nikt cię tutaj nie znajdzie”.

Czytelnik kolorowych pism i stały bywalec pokazów mody ponabijał się z propozycji wyprawy do „Dupy Świata” i szybko o niej zapomniał.

Ale któregoś dnia miał wyjątkowego pecha. Pożarł się ze wszystkimi „koleżankami”, rzucił swojego popa, który za kolejną zdradę obił go taborettem, i poszedł odreagować w elitarnym klubie dla gejów. Dokąd go nie wpuszczono. A kiedy próbował się stawiać, nieznajomi ochroniarze wrzucili go łbem w zaspę. Mokną i paskudną.

Grisza snuł się po nocnej Moskwie, wycierał śnieg z twarzy, pochlipywał i miał ochotę zrobić sobie „coś takiego, żeby wszyscy potem żalowali i żeby dotarło do nich, co stracili”. Byle nie umrzeć, bo na to był za młody.

I wtedy przypomniał sobie ojca Andrieja. I postanowił na złość wszystkim jechać do „Dupy Świata”. Oczywiście nie na długo. Po wielu płaczących błaganiach wróciłby łaskawie do stolicy.

Ale nie wrócił. I za granicę też już się nie wybierał. Jeden Bóg wie, jakim cudem ojciec Andriej skłonił gwiazdę nocnych klubów do pozostania na wsi. Grisza o swoim nawróceniu mówił niechętnie i skąpo.

- W Moskwie wszyscy mają mnie za nic, dopiero ojciec Andriej zobaczył we mnie człowieka. Zresztą dobrze mi się tutaj żyje, spokojnie. Pora w końcu dorosnąć. Mam już dwadzieścia trzy lata, a żyję, to znaczy żyłem jak dziecko, bez żadnej odpowiedzialności. Kiedy tu przyjechałem, dotarło do mnie, jaki jestem pusty. I postanowiłem nie wracać. Bo i po co? Do tych wymalowanych facetów? Znudzili mi się balety, pora na kotlety. W Kriestach mieszka przy cerkwi jeden taki bandyta, to jego powiedzonko. Też zresztą ciekawy człowiek, poproś ojca Andrieja, niech ci o nim opowie.

Ojca Andrieja znaleźli w oborze. Chodził w podkasanej riasie między rzędami krów i zachęcał je, żeby dawały więcej mleka.

- Niedawno wybrano go kierownikiem kolchozu - wyjaśnił Grisza. - A to też mieszczuch, jak ja, nie bardzo wie, jak się znaleźć. No i próbuje zwiększyć mleczność kazaniami!

Kierownik kolchozu roześmiał się i podszedł do nich, przeskakując kałuże. Dach obory zawalił się w paru miejscach, poprzez dziury spoglądały na bydło odległe galaktyki.

- Tak, niedawno moje stadko powiększyło się o dwieście sztuk rogacizny! - powiedział wesoly ksiądz, podając Nikicie rękę. - Jesteś dziennikarzem? Nie? Dziwne! Odkąd mnie wybrali, dziennikarze robią tu całe pielgrzymki. Dzień w dzień: sensacja! Pop kierownikiem kolchozu! Dzięki nim wdrożyłem się w pracę. Przyjechali z telewizji. Zaczęli wymyślać scenki rodzajowe: w oborze, na polu, w chlewni... A potem operatora oślniło: „Pop na traktorze! Czegoś takiego jeszcze nie kręciłem!” Posadzili mnie za kierownicą i jazda! Co tam, że pierwszy raz w życiu... Przeżegnałem się i pojechałem.

Ojciec Andriej zupełnie nie przypominał księdza: szczupłutki, skory do żartów, kanciasty, co chwila wypadł z roli, w jego basie pobrzmiwały chłopięce intonacje. No i był młody, bardzo młody.

- Chodźmy do domu, bo zaraz skręci mnie tu bez papierosa! A tutaj nie mogę, księdzu nie uchodzi kopicie w niebo! - ojciec Andriej popchnął Nikitę i Griszę do wyjścia gałązką, którą przed chwilą pieścił krowy.

W domu, w małej chatce, zapadłej w ziemię chatce na skraju Górek („zimą zające zaglądają do okien”, opowiadał Grisza), przy szklance taniego czerwonego wina Nikita usłyszał obiecaną historię o nawróconym bandycie. Była to jego pierwsza *dobra* rosyjska historia, taka, jakiej chciała Ala.

- Wiesz, jest taka kategoria meneli: popmenele. Przebierają się i zbierają pieniądze na budowę cerkwi.

Stał sobie kiedyś taki farbowany lis koło Dworca Kijowskiego: na szyi puszka, w rękach święty obrazek, wszystko jak trzeba, fuli profesjonalnie.

Nagle podjeżdża wypasiona fura, wyskakuje z niej chłopak w czarnej koszuli, woła: „Ojciec święty, módl się za moją duszę!”, rzuca lisowi pod nogi paczkę banknotów i odjeżdża.

Menel oczywiście bardzo się ucieszył: poszedł w tango, zapił i tak dalej. Ale potem zdarzyło się coś dziwnego. Może przez kaca. A może nie. Przypomniawszy sobie, że nie pomodlił się za chłopca. I że w ogóle nie potrafi się modlić... Zrobiło mu się głupio. Pierwszy raz w życiu. No i wpadł z kretesem.

Rzucił wszystko, resztki pieniędzy rozdał kolegom spod dworca i poszedł, dokąd oczy poniosą. Długo nosiło go po miastach i wioskach, nigdzie nie zagrażał miejsca. Zdziczał, zapuścił brodę, przestał przypominać człowieka.

Pewnej nocy zasnął na schodach wiejskiej cerkwi. Rano znalazł go miejscowy ksiądz. Obudził, nakarmił, ubrał, porozmawiał. I były menel został już przy cerkwi. Najpierw zbierał ogarki świec i czyścił kadzielnice, potem zaczął służyć przy nabożeństwach i wreszcie za radą księdza skończył seminarium. I został prawdziwym popem.

Któregoś dnia po nabożeństwie podchodzi do niego chłopak, blade, oczy mu błyszczą, na twarzy strach. Pada na kolana: „Ojczy, poznajesz mnie? Nie? Przecież życie mi uratowałeś!”.

Okazało się, że to tamten bandyta, który tak odmienił życie naszego menela. Oto co mu opowiedział: jechał wtedy robić grubszy interes, wszystkich jego kumpli zastrzelono. On sam cudem sturlał się do rowu i przeżył - jak sądził, dzięki modlitwom „papa”. Skończył z gangiem, zaczął pielgrzymować...

No i w końcu też został w tej cerkwi. Pomagał byłemu menelowi. Wszystko to działo się w naszych Kriestach. Jeśli nie wierzysz, możesz wybrać się do nich i popytać. A teraz do łóżek, bo jutro znowu wstajemy skoro świt!

Przed snem Nikita wyszedł przed dom zapalić. Ciemne i niezamieszkałe z pozoru chaty patrzyły na świat czarnymi dziurami okien. Gorki wyglądały jak obca planeta. Niebo wypogodziło się po

- Bo staruszek rzadko dożywa wieku, w którym trzeba go oddać do ośrodka - uśmiechnął się ojciec Andriej. - Wiesz co? Lepiej przywieź ją tutaj. Pół chaty i tak stoi puste. I Griszy, i mnie przyda się matka. Dwu chłopów w domu - koszmar! Głupich firanek nie chce nam się powiesić. A z resztą gospodarstwa jakoś sobie radzimy, miastowy też potrafi! Jedź po nią, nie damy jej tu zginąć!

Taisię Josifownę znaleźli z Junkrem między czwartym a piątym piętrem. Nikicie nagle zrobiło się strasznie głupio, jakby był dzieckiem. Zapomniał języka w gębie, mruknął „...ńdobry” i wczepił się w rączkę wiadra jak w ostatnią deskę ratunku. Taisia Josifowna poznała Nikitę i zdumiona spytała:

- Przecież nie pada. Przyszedłeś tak po prostu? Junkier, skonfundowany nie mniej niż Nikita, burknął:

- Porozmawiajcie tu sobie, zaczekam w samochodzie - i zbiegł po świeżo umytych schodach.

Nikita z wiadrem w ręce rzucił się za nim. Policzki mu płonęły chyba pierwszy raz od czasów podstawówki.

- Ej, dokąd z tym wiadrem? Woda jeszcze czysta! Dopiero co zmieniałam! - wołała za nim Taisia Josifowna. Ale Nikita gwał, przeskakując po kilka stopni, i nie mógł się zatrzymać.

Junkier palił, oparty o samochód. Nikita wylał wodę w krzaki i głęboko odetchnął. Serce biło mu jak po maratonie. Spojrzał na Junkra. Junkier odwzajemnił spojrzenie. Po paru chwilach Nikita zrozumiał, że

deszczu i Nikicie świeciły w oczy jasne wiejskie gwiazdy. A gdzieś tam, w gęstym mroku, spał pod portretem Puszkina malarz Wania, nawet we śnie wciąż rozmyślając o egzystencji człowieka.

I raptem Nikitę olśniło. Biegiem wrócił do chaty, potykając się o puste wiadro. Grisza głośno mościł się na piecu, a ojciec Andriej siedział przy stole i kartkował jakąś religijną książkę.

- Czy w ośrodkach pomocy przy cerkwiach sprawdzacie ludziom dokumenty? - wypalił Nikita od progu.

Grisza parsknął, ale rozrywkowy ojciec spojrział na Nikitę poważnie.

- Bóg nie pyta o dokumenty. A z ośrodkami różnie bywa. W niektórych obowiązuje średniowieczny regulamin, mało nie zakuwają w kajdany. Lubimy przesadzać... Znam jedno niezłe miejsce. Tylko że daleko. Na Uralu, pracowałem tam kiedyś. Pośrodku pola stoi sobie klasztor. Zaczęto go budować w Nowy Rok, w pierwszej godzinie trzeciego tysiąclecia. Tamtejszy przełożony, ojciec Borys, w ciągu roku własnoręcznie wyciosał chatę i zakwaterował w niej kilku bezdomnych chłopców. Potem pojawiły się staruszki. I teraz mieszkają razem, starzy i młodzi. Dobrze im tam. Wokoło lasy, przestrzeń... Klasztor nie ma jeszcze murów, stoi otwarty na świat. Dzieci rozwiesiły na brzozech dzwoneczki. Ciągłe słychać cichutkie dzwonięcie. Ojciec Borys mówi, że tak brzmią dusze dzieci...

Nikita słuchał jak zaczarowany. Grisza miarowo posapywał, wystawiwszy spod podartego kozucha tylko koniec nosa.

- Myślisz, że uda się tam dowieźć tę twoją staruszkę? Z Moskwy to kawał drogi.

- No tak - odpowiedział szeptem Nikita. - Szoruje podłogi w piętnastopiętrowym apartamentowcu, uciekła z Groźnego, ma osiemdziesiąt lat. Skąd ksiądz wie, że to staruszka?

musi działać sam. Nabrał powietrza w płuca i zanurkował w drzwi apartamentowca.

- Taisio Josifowno, proszę posłuchać! To bardzo ważne. Nie umiem tego powiedzieć, w ogóle nie umiem mówić, w szkole zawsze miałem kłopoty, proszę mi wybaczyć, to ze szczerego serca - Nikita z przerażeniem poczuł, że znów grzęźnie w słowach. - Czy możemy... To znaczy, czy pani może... Chciałem powiedzieć...

- Spokojnie, powolutku - Taisia Josifowna położyła na ręce Nikity zasuszoną, leciutką dłoń. - Przecież się mnie nie boisz? Nie zrobię ci żadnej krzywdy. I nie wezmę za złe. Mnie już nic nie skrzywdzi.

Nikicie pociemniało w oczach. Usiadł na schodku, próbując wrócić do rzeczywistości. Taisia Josifowna usiadła obok i zajrzała mu w twarz.

- Na dole czeka w samochodzie mój kolega. Przyjechaliśmy, żeby panią stąd zabrać. Proszę nie protestować, pani nie może tak żyć, tak nie wolno... - Nikita zauważył, że krzyczy. - Tam na wsi jest tak spokojnie. Nie trzeba szorować podłóg i nosić ciężkich wiader. Pół domu stoi wolne, w drugiej połowie mieszka wspaniała ksiądz, zaopiekuje się panią. Tam jest świeże powietrze, jasne gwiazdy, naprawdę ogromne. I jest chłopczyk, Wania, cudowny, ma dopiero dziesięć lat, ale już rozumie cały świat...

Nikita bredził jak najęty, bo bał się podnieść wzrok na staruszkę. Woda w wiadrze pieniała się kolorowymi bańkami. Junkier na dole palił czwartego papierosa.

Prawie przez całą drogę do Górek milczeli. Potem, już w okręgu iwanowskim, zobaczyli zrujnowaną dzwonnice, w której bociany uwiły sobie gniazdo. Wielkie białe ptaki bezgłośnie odrywały się od młecznych murów dzwonnicy, zataczały krąg i wracały.

Troje ludzi, zamkniętych w przejeżdżającym obok samochodzie, wreszcie zaczęło rozmawiać. O bocianach. Nikita nigdy nie sądził, że bociany mogą być takie interesujące. Junkier, niedoszły biolog, zapoznał ich z wszelkimi szczegółami życia pięknych ptaków.

- U nas w Czaczeni nie ma już nie tylko bocianów, ale nawet wróbli - westchnęła Taisia Josifowna. - Palily się rurociągi i zatruly powietrze. Wszystko, co żywe, uciekło. Tak jak ja.

Na szczęście akurat dojechali do Górek. Na głównej i jedynej ulicy wsi, pośrodku bezkresnej kałuży, czekał na nich groźny Wania.

- No, w końcu! - krzyknął do Nikity. - Myślę i myślę, a ty się gdzieś włóczęsz!

Wania ostrożnie wyszedł z kałuży po deskach, rozsypanych przez pijanego traktorzystę, i nieufnie przyglądał się Junkrowi. Taisię Josifownę z miejsca potraktował jak swoją, rzucił jej tylko miękko: „Jaklam, babciu, dotarłaś z Bożą pomocą?”.

Kiedy Junkier, ojciec Andriej i Grisza (już w porządnym waciaku, zamiast płaszczka Yohji Yamamoto), przepychając się i wpadając na siebie, wnosili do chaty maleńki tobolek z rzeczami staruszki, Wania zaciągnął Nikitę za dom i oświadczył:

- Wiem już, co będę robił w życiu. Po szkole pójdę studiować ekologię, będę ratował naturę. Najpierw chciałem ratować ludzi. Nawet rozmawiałem z ojcem Andriejem, że może otworzymy tu przytułek, tyle domów stoi pustych. Ale potem stwierdziłem, że przyroda jest ważniejsza. Bo niby gdzie ci uratowani ludzie będą mieszkać, jeśli planeta zginie? Na Marsie? A na razie, dopóki jeszcze chodzę do szkoły, zacząłem pisać książkę, żeby nie tracić czasu. Muszę ostrzec ludzi. Ostrzec, co nam grozi, jeżeli dalej będziemy tak niszczyć naszą planetę.

Nisko nad ich głowami przeleciała sroka. Opuściła ogon i usiadła na drutach. Ojciec Andriej wyszedł zapalić. Szeroko uśmiechnął się do Nikity i powiedział:

- Na świecie jest bardzo mało złych ludzi. Po prostu większość boi się i wstydy być dobra.

Sroka zaskrzeczała oburzona, jakby dziwiąc się ludzkiej głupocie.

- Widzisz, nawet sroka się ze mną zgadza, jak mawiał Don Juan - powiedział ojciec Andriej. Spojrzał na Nikitę i roześmiał się na całe gardło.

Słońce chowało się za krzywe dachy. Ojciec Andriej musiał iść na dzwonnice, zwoływać ludzi na wieczorne nabożeństwo. Nikita, Grisza i Junkier poszli razem z nim, a Wania został na dole, „opiekować się” Taisią Josifowną.

Z góry widać było jeszcze rąbek zachodzącej kuli. Wszystko wokół zalewało złoto. Wybrudzona wapnem riasa ojca Andrieja rozwiła się na wietrze, zatańczyła pośród promieni. Ojciec Andriej okręcił wokół dłoni sznury dzwonów i nasłuchiwał.

- Ojciec Serapion w Wysokiem nie dzwoni jeszcze? - zapytał, odwracając się do Griszy.

- Nie, nie dzwoni - Grisza oparł się o ścianę i spoglądał w dal.

Pola wraz z ognistą kulą zachodu odbijały się w jego oczach. Nikita pierwszy raz widział taką twarz Griszy. Jakby obmytą wewnętrznym światłem.

- Dziwne, powinien już... - ojciec Andriej niespokojnie skubał sznury. - Mamy w Wysokiem bardzo starego księdza - wyjaśnił Nikicie i Junkrowi. - Rano i pod wieczór nawołujemy się dzwonami. Stąd wiem, że jeszcze żyje. Codziennie serce mi zamiera, kiedy wchodzę na dzwonnice, bo nie wiem, czy go usłyszę. W Wysokiem wszyscy już wymarli. Ojciec Serapion został sam. A nabożeństwa i tak odprawia, bez parafian, bo przecież cerkiew stoi... Ginie nasza Rosja, ginie na naszych oczach - westchnął, przeżegnał się, a potem zniecka uśmiechnął. Wiatr przyniósł z oddali słabe dźwięki dzwonów.

Ojciec Andriej też pociągnął za sznury. Świat napełnił się ciężkim dźwiękiem.

Wtedy Nikita zrozumiał, że jest szczęśliwy. I że tego wszystkiego - wybrudzonej wapnem riasy ojca Andrieja, zamyszonego Griszy, rozeschniętych desek pod stopami i koślawych domków, tam, w dole, gdzie panował już mrok - nigdy nie zapomni.

Bardzo rzadko mamy świadomość szczęścia w chwili, kiedy je odczuwamy. Wcześniej Nikita był szczęśliwy tylko raz. Kiedy miał dziewiętnaście lat, z Jasią w Petersburgu. Ale to było całkiem inne szczęście «Ochryple z zachwytu, zdysane szczęście dwojga ludzi.

23

Szczęście było pocałunkami na Moście Pocałunków. Ławicami drobnych rybek w mętnej Mojce. Szczęście kradło w sklepach niesmaczny petersburski chleb i Brodskiego w miękkiej okładce. Szczęście piło kefir na trawniku przed Soborem Izaaka, z odrzuconą w tył głową, jak pionierski alpinista. Szczęście, na zawsze już dziewiętnastoletnie, wciąż brzmiało w pamięci jak muzyka.

Nucilo, myśląc słowa, *Marsylianek* dla grupy francuskich emerytów, pstrykających aparatami fotograficznymi. Wyło głosami brodatych bardów na moście nad Kanałem Gribo-jedowa.

Był też smutny człowiek w kapeluszu, monotonicznie zawodzący na drewnianej piszczałce. O piątej rano witał na dachu świt, którego nikt jeszcze, poza nim, nie widział.

Byli Murzyni, biegnący im na spotkanie po ledwie opuszczonym moście, z drugiego brzegu. Mieli wielkie skórzane bębny. Siadali na balustradzie i uderzali w nie różowymi dłońmi, witając wstające nad Nową słońce.

Albo stara kobieta z papierosem Prima w długim munsztu-ku, ze szerniałymi srebrnymi pierścieniami na palcach. Madame kroczyła środkiem pustej ulicy Litiejnej i w zapamiętaniu śpiewała arie operowe dobrze ustawionym, przepalonym basem, pośród jednej z niekończących się białych nocy.

Szczęście było jak skorupki przejrzystej muszli, zatraskujące się za ich plecami, kiedy całowali się, wrastając w siebie nawzajem, gdzieś na moście.

Mogli cały dzień leżeć na ławce w ogrodzie Domu na Fon-tance, patrząc, jak wiatr przelewa liście lip z pustego w próżne niebiesko-niebieskie niebo. I rozmawiać przy tym w ptasim języku, wymyślanym *ad hoc* i zaraz zapomnianym.

Z tego języka pozostało tylko jedno słowo. Jasia uważała, że świetnie rozmawia się nim z siłami przyrody.

„WIENCZ!” - wołała przyjaźnie do szarych kaczek, przebierających łapkami w rzeczce Smolience.

„WIENCZ!” - szepczała do białych kwiatów na starym cmentarzu ormiańskim. Kwiaty kiwały główkami, sprężynując na cienkich lodyżkach.

„WIENCZ!” - Jasia zaklinała sztorm, stojąc na przewróconej beczce w bryzgach piany z zielonych fal Zatoki Fińskiej.

„WIENCZ!” - przemoczona dziewczynka z dziesięcioma krótkimi warkoczami próbuje uciszyć ryk surowego Bałtyku.

„WIEŃCZ;” - Nikita wciąż słyszy w sobie czarodziejskie słowo maleńkiej Jasi, dźwięczące i słoneczne wtedy, lata temu.

„WIEŃCZ!” - i już wie, że nigdy, nigdy, nigdy go nie usłyszy.

„WIEŃCZ” - fale opadają i loskot cichnie. Jasia złazi z beczki, ślizga się i wpada do wody. Nikita biegnie do niej, potyka się i też wpada. Idą do siebie po uciekającym spod stóp dnie, po ruchomych piaskach, zdyszani, roześmiani, podrapani. Łapią się za ręce i wtedy nowa fala szczęścia uderza ich w plecy, i znów padają, teraz razem, i krzyczą „WIEŃCZ”, klęcząc na skraju uciszonego sztormu, na samej krawędzi swego losu.

Junkier, tak jak Ala, prawie nie wychodził z domu. Tyle, co do monopolowego i z powrotem. Na dworze panowała całkiem inna epoka. Małostkowy, nędzny dwudziesty pierwszy wiek, trzeszczący już w szwach.

Odwieczny konflikt jednostki i społeczeństwa był w przypadku Junkra kwestią skali. Junkier czuł się w swoich czasach jak transatlantyk w bajorze.

Nikita, od kiedy się poznali, miał wrażenie, że Junkier stworzony jest do jakichś wyższych celów, do czynów, dla których w naszych czasach nie ma miejsca. Kiedy powiedział o tym przyjacielowi, ten przez cały wieczór go wykpiwał, wyzywając od „egzaltowanych panienek”.

Ale Nikita był bliski prawdy. Tyle że Junkier nie znosił patosu. I to wręcz fizycznie.

Najważniejsze męskie święto w kraju, ósmy marca, Moskwa witała śniegiem, tającym tuż nad ziemią w pierwszy deszcz. Nawet Nikita nie miał ochoty ruszać się z domu, toteż był bardzo zdziwiony, kiedy w progu jego mieszkania na Altuf-jewie stanął Junkier.

Junkier trzymał w każdej ręce butelkę wina. Był błady i zmarnowany, ale mówił twardo:

- Jedziemy, specu od współczesnej Rosji, musisz mi ją pokazać - Junkier machnął butelką w stronę okna, za którym migały nagie drzewa, usiłujące złapać zwinne, poszarpane chmury. - Nie próbuj protestować. Dzisiaj na amen zabląkałem się w lesie życia i muszę zstąpić do piekieł, a ty będziesz moim Wergiliuszem. Znasz tu wszystkie kąty.

Nikita zrozumiał, że się nie wywinie, i zaczął sznurować buty. Na schodach stał oparty czołem o sąsiednie drzwi jakiś obywatel, ściskający w dłoni gałązki mimozy. Drugą ręką usiłował wymacać dzwonek. Porywy wewnętrznej burzy wstrząsały jego ciałem i odrzucały palec od guzika.

- Oto moja ojczyzna, stoi i nic nie kojarzy, zaraz padnie na czworaka i zakwiczyci - powiedział ostro Junkier.

Nikicie zrobiło się nieprzyjemnie.

- Nie patrz tak krytycznie! Spróbuj po dobru, zobaczysz różnicę.

- Znam to: kochaj nas, jakimi jesteśmy, a nie jakimi powinniśmy być - warknął rozeźlony Junkier. - Powiedz mi tylko, jak niby mam pokochać? Całe życie próbuję i nie mam już siły. Jak *ty* to robisz?

- Nie wiem - zmieszał się Nikita. - Dzisiaj jest święto, w pracy składał życzenia kobietom, wygłaszał toasty, dawał prezenty, no i przeholował. Ale kwiaty dla żony przecież niesie, nie zapomniał, czyli co? Czyli kocha.

Ta mimoza wygląda, jakby przeszedł z nią pół świata, pośród katastrof i sztormów. ..

- Jasne, od bramy zakładu do piwiarni. I drugą połowę, od piwiarni do domu. Cały wielki świat!

- Po co mówisz takie rzeczy?

- Mówię, bo wstyd mi za ten kraj! Tylko nic mi nie cytuj! Nie sądzicie, abyście nie byli sądzeni. Nie boję się sądu! Odpowiadam za swoje czyny i słowa. W odróżnieniu od *niego*.

Nie hańbiłem mojego kraju, nie tarzałem się w pijanym widzie pod płotem!

Sąsiad załapał, że to o nim mowa, i groźnie zaryczał, usiłując odwrócić się w stronę Junkra. Ciało odmówiło współpracy i jeszcze mocniej przylgnęło do drzwi. Nikita i Junkier ruszyli dalej.

Jak na złość, piętro niżej leżał kolejny sąsiad, tym razem płci żeńskiej, o czym świadczyła zadarta spódnica. Stworzenie było przytomne i najwyraźniej pragnęło kontaktów towarzyskich.

Junkier odskoczył.

- Ogarnij się chociaż, kobieto!

- O, jaki mądry! Nie strugaj tu uczonego, wszystko widzę! Muchy ci się w głowie jebią, ot co! - krzyknęła zaczepnie kobieta.

- No, adwokacie diabła, i co teraz powiesz?

- W każdym razie ma poczucie humoru - uśmiechnął się Nikita, rozbawiony jurnymi muchami.

Junkier chciał coś dodać - jeśli sądzić z wyrazu jego twarzy, coś wyjątkowo wrednego - ale dał spokój i poszedł dalej. Na ścianie ktoś napisał czarnym flamastrem: „Rewolucja to ty!” i obok: „Ludzie, grajcie na lutni! Reszta jakoś się ułoży!”.

- Oryginalne - grobowym tonem zauważył Junkier. Gdzieś na górze historyczny kobiecy głos wzywał milicję. Słowem towarzyszył łomot.

- Żona wyrzuca go z domu. Już wcześniej spakowała jego rzeczy, teraz wystawia na schody. W każde święta to samo - powiedział Nikita. Junkier milczał.

Na dole otwarli wino i wyszli na deszcz. W kałuży pod latarnią pływały żółte główki mimozy, pewnie bohaterski globtroter wpadł tu w większe tarapaty.

Nikita pierwszy raz widział, jak Junkier pije z gwinta. Pije w rozpacz, desperacko, jak oszalały Dymitr Karamazow.

Lepiej było o nic go nie pytać. Raczej nie chodziło o dziewczynę z warkoczami blond.

Na przystanku smutny dresiarz, podobny do ogolonego szympansa, burzliwie konwersował z ciemnością, nazywając ją to „suką”, to znów „Olką”.

- Olka, ty suko, wracaj, bo cię zabiję! - bełkotał czule dres, chwytając się w nawale emocji.

- OLKA! - obwieszczał okolicy rykiem tokującego mamuta. - TY SUKO! Przecież chciałem z tobą pogadać JAK CZŁOWIEK!

Ciemność milczała, tajemniczo popluskując deszczem na rozmarznionym asfalcie i ciężko wdychając oponami samochodów.

- Byłeś kiedyś w\*Ermitażu? - spytał niespodziewanie Junkier.

Nikicie znowu zrobiło się głupio. Jasne, był w Ermitażu, ale z Jasią. I nie miał dziś ochoty o tym pamiętać. Cały ostatni wieczór mężnie walczył z pokusą zadzwonienia do niej.

Studentów wpuszczali do Ermitażu bezpłatnie. Chowali się z Jasią między sarkofagami przed długim petersburskim deszczem. Była tam też bezpłatna toaleta, w której Jasia zostawiła kiedyś Biblię po fińsku, którą usiłowali ukraść w katolickim kościele, gdzie poszli posłuchać organów. Ale okazało się, że rozdają bezpłatnie. Wzięli, nie było wyjścia, i potem

musieli ją taszczyć po dusznych ulicach Wyspy Wasiliewskiej, krzepiąc się odczytywaniem zbitych samogłosek.

Z toalety sprytna Jasia wyszła już bez grubego tomiszcza, ale Nikita zauważył to i wrzasnął z oddali, ku radości pobożnych zwiedzających:

- Jasia! Zapomniałaś o Biblii!

Jasia skrzywiła się i wróciła po książkę, którą potem sprezentowali fotografowi, studiującemu fiński. Wasi albo Pietii.

Poznali go w Ogrodzie Michajłowskim, gdzie spali na ławkach obok siebie, a potem łazili po budzącym się ze snu Petersburgu i robili zdjęcia latarniom, świecącym na tle różowego nieba jak batyskafy kosmitów.

Nikita wspominał to wszystko, kiedy Junkier klarował mu, że „można, naturalnie, próbować *być ze swoim narodem tam, gdzie ten naród, na nieszczęście, trafił*, ale to przecież nie znaczy, że trzeba też obowiązkowo a solidarnie schamieć - i dlatego warto zaglądać do Ermitażu”.

Nikita obiecał, że zajrzy przy najbliższej okazji. Poszli dalej. Junkrowi ze zdenerwowania plątały się nogi.

- Kiedy patrzysz na te wszystkie stare obrazy i rzeźby, widzisz, jaki mają dziwny wyraz twarzy. Taki, jakiego w życiu nie widziałeś. To nie wymyślił malarz czy rzeźbiarz, nie tylko sztuka - po prostu kiedyś ludzie mieli inne twarze. Już w dzieciństwie to zauważyłem. Potem któregoś razu w Ermitażu rozpoznałem w marmurowym chłopcu z czasów upadku Rzymu swojego kolegę z klasy: toczka w toczkę. Rozejrzałem się i znalazłem jeszcze paru znajomych. I wtedy zrozumiałem, że te twarze nie budzą mojego zdziwienia - przecież codziennie oglądam je w metrze i na ulicy! Twarze naznaczone upadkiem i degeneracją.

Junkier wziął duży łyk wina i zapalił. Nikita odwrócił się i zobaczył dresa ze zmaterializowaną z ciemności Olką, czule objętych pośrodku ulicy. Samochody objeżdżały ich, przyjaźnie migając światłami i frywolnie trąbiąc.

- Nie mogę spokojnie na to patrzeć! - zawołał Junkier, wciąż jeszcze mając na myśli upadek i degenerację, a nie objęcia łamiące prawo o

- Rośnie nam chłop na schwał! - emocjonował się Grisza rozćwierkanym tonem wiejskiej kumoszki.

- A Junkier? - pytał uśmiechnięty Nikita.

- Sieriooga? E, żyje jak jakiś dzik, z nikim nie gada, ciągle łązi po lasach. Mówi... czekaj, poszukam tej kartki, specjalnie zapisałem, sam bym nie zapamiętał... Mówi, że „wszedł w niekończący się przedtekstualny dialog ze światem”. Jakiś hardkor, co?

ruchu drogowym. - W każdym z nas, albo prawie w każdym, rośnie trup. Rozejrzyj się! Tylko taki idiota jak ty widzi w tym ścierwie ludzi. Poczucie humoru, a jakże! Szkoda tylko, że zapomniała o swoim człowieczeństwie!

Idiotę" Nikita puścił mimo uszu, ale za degeneratów i ścierwo się obraził. Junkier w strumieniach deszczu kontynuował:

- Wiesz przecież, że nie lubię pustego gadania. Tu trzeba działać. Takiej tendencji nie zmienia ani nauka, ani sztuka, ani polityka. Cała nadzieja w religii i w szkole. Nie mogę zostać księdzem, bo jestem niereligijny, ale nauczycielem - jak najbardziej. Trzeba dusić tę entropię w zarodku, inaczej wszystko na nic. No i zmienili przepisy, tylko patrzeć, jak wezmą mnie do wojska, a jakoś nie ciągnie mnie do tego syfu - Junkier urwał, westchnął i dodał, nie patrząc na Nikitę: - Postanowiłem jechać do Górek, chyba mają tam szkołę...

Wracali w milczeniu. W milczeniu, ale radośnie. Pod domem stał radiowóz. Odważny dzielnicowy ciągnął do niego sąsiada. Jedną ręką podtrzymywał delikwenta, w drugiej niósł tobołki. Mężczyźni na ławce kłęli na „podłe babskie nasienie” i wznosili toasty z okazji ósmego marca. Sąsiad kurczowo ścisnął w ręku kwiatki.

...Potem Nikita kilkakrotnie dzwonił do Górek, do biura kolchozu, gdzie był jedyny telefon, i rozmawiał z Griszą, a ten donosił mu o wszystkich wiejskich nowinach.

Zima minęła spokojnie. Ojciec Andriej musiał parę razy założyć pieniądze z cerkiewnej kasy, żeby spłacić najpilniejsze długi kolchozu. Kiedy na przykład elektrycy z *piekła rodem* grozili, że odetną prąd szkole.

Taisia Josifowna cieszy się dobrym zdrowiem i zamawia w sklepach wysyłkowych nasiona jakichś dziwnych, południowych kwiatów. Chce nimi obsiać porzucone ogrody.

Wania napisał książkę i obraził się na Nikitę, że ten ich nie odwiedza. Poza tym ćwiczy płucie na odległość przez dziurę po dwu jedynkach.

Przy wejściu do metra kłębił się potężny tłum. Jelitami podziemnych korytarzy, wstrząsały skurcze emocji. Ich źródło było gdzieś w okolicy bramek i stamtąd rozlewało się falami po szarym ciele tłumy. Do ostatnich rzędów, gdzie dreptał Nikita, umówiony na mięcie z Roszczynem, dolatywały tylko pienne bryzgi.

- Walczyłem! A pani walczyła? Proszę mnie przepuścić! - wołał starczy głos.

- Nie wolno mi, nie wolno! - piszczała przejmująco kobieta.

Drzwi przeżyły kolejną porcję pasażerów i zatrzasnęły się głucho. Pozostawiony na zewnątrz ogon kolejki stał w zimnej, porannej ciszy. Nikicie spadła na twarz kropla deszczu i spłynęła po policzku za kołnierz.

Drzwi znowu stanęły otworem i z wnętrza ziemi doleciał rozpaczliwy lament:

- Jak pani nie wstyd?!
- Co tam się dzieje? - zapytał Nikita kogoś obok.
- Panie, telewizji pan nie oglądasz? - błyskawicznie ożywił się sąsiad w mokrej czapce z kundla.

Nikita nie miał telewizora.

- Znieśli wszystkie ulgi, emeryci muszą płacić za przejazd, a nie mają czym - wyjaśniła gadatliwa pańcia w wielkich okularach. - Teraz już chyba codziennie będą takie sceny.
- O nie! - zaoponował pesymista w psiej czapce. - Gorsze, znacznie gorsze! Stoimy u progu końca czasów!

Metro czknęło i wessało ich do środka. Awantura przy bramkach przechodziła w histerię.

- Dobrze, zapłacę! - pluł się dziadek z torbą na kółkach. - Udław się moją krwawicą! A mnie zostanie położyć się na torach!
- Sama zaraz rzucę się na tory! - chlipała kobieta w mundurze, blokując kanciastym biustem bramkę. - Niech pan zrozumie, to nie moja decyzja. To rząd tak postanowił!
- Ale to ty nas nie wpuszczasz!
- A róbcie sobie, co chcecie!

Kobieta rozplakała się i ustąpiła. Tłum wlał się na schody metra. Emocje opadały, ale wówczas drogę emerytom przegrodził barczysty milicjant.

- Powiedz no, matko, przy kim stawiałaś krzyżyk na wyborach? Przy Putinie? - podstępnie zapytał zgarbioną, chudą staruszkę.
- Przy Putinie, synku! A przy kim by jeszcze? - ucieszyła się babcia.
- To zwracaj do kasy i kup bilet! - ryknął milicjant na całe praworzędne gardło. - Na przyszły raz trzeba myśleć! Jeżeli dożyjesz przyszłego razu.
- Popatrz, popatrz! - gruby, łysiejący chłopak trącił Nikitę w ramię. - Przeciw swoim agituje! Milicjantom też zabrali ulgi, idioci! A głodna milicja, czy tym bardziej wojsko, to już kłapa. W razie czego zaraz przejdą na stronę buntowników. Niedługo się zaczniesz. Jak nie dziś, to jutro pójdą blokować drogi. Słowo komentatora politycznego!

Intuicja nie zawiodła dziennikarza. Tegoż dnia rozpoczęły się blokady dróg. Nikita usłyszał o tym już w pociągu, przez radio. W nocy cały wagon nie spał.

- Precz z władzą! - krzyczał facet w rozciągniętej koszulce, waląc w stół stalowym koszyczkiem od szklanki.
- Dobrze gada! - rezonowała sąsiadka, ratując przed ciosami koszyczka tłustą kurę w folii aluminiowej. - A tego Zurabo-wa poćwiartujemy na placu Czerwonym! Wyciąga żebrakom z czapek ostatnie kopiejki!
- Boże, jak teraz żyć? - zawodziła samotnie staruszka z głową okutaną w chustkę. - Żeby tak już szybciej umrzeć!

Nikita poczuł się winny.

Kołyska rosyjskiej rewolucji powitała go o ósmej rano sparaliżowanym Newskim Prospektem i Sadową. W jesiennej mżawce na asfalt wyległy tysiące starców. Nerwowo dzwoniły tramwaje. Starcy stali w milczeniu.

Zdawało się, że spędzili tutaj całą noc. Zdawało się, że nigdy już nie odejdą, nie wrócą do domów, nie wsiądą do pustego tramwaju, mknącego w stronę Ochty, nie kupią świeżego chleba w na wpół nielegalnej piekarni na Kazańskiej.

Zajęli już swoje miejsce w wieczności, pod szerokim niebem Petersburga, jak stada zielonych aniołów na dachach niezamieszkałych pałaców, jak dziwne kamienne twarze, wyglądające z fasad na Wyspie Wasiliewskiej, jak lwy z odłupanymi nosami, strzegące bram, w których nie pozostała ludzka stopa.

Nikita poczuł, jak gdzieś w środku skręca mu się sprężyna. Która już nigdy potem się nie rozprostuje. W tłumie spotkał ponurego Roszczyna. Bez słowa ucisnęli sobie dłonie i weszli do jakiejś bramy.

Wprost pod nogi wybiegł im tłusty szczur, drapieżnie bijąc ogonem w gruźliczy petersburski kurz. Na podwórzu piszcząca i kłębiła się sterta śmieci, sięgająca parapetów okien na pierwszym piętrze. Z nieba spadł dymiący niedopalek.

- No i masz rewolucję, na którą tak czekaliśmy - powiedział bezbarwnie Roszczyn. - Chodzę i słucham. Słucham muzyki rewolucji, jak pisał Blok. To zła muzyka. Wszystkie męty podniosły się z dna. Głoszą prorocstwa. Koniec czasów, zmartwychwstali carewicze, kosmici. Tylko patrzeć, jak zza rogu wychynie student Stawrogin ze swoją niemytą świtą. I zaczniesz rozdawać ulotki.

Szczur skoczył z pajurami na brudnego gołębia, grzebiącego w śmieciach, ale spudłował i ciężko upadł na brzuch.

- Byłem na Ukrainie - ciągnął Roszczyn - kiedy robili tam tę pomarańczową imprezę. I wszystko było inaczej. Z ikrą i przytupem. Ludzie uśmiechnięci, palą ogniska na Chreszczatyku, śpiewają pieśni, tańczą, rysują karykatury. Psy biegają z pomarańczowymi kokardkami na obrożach. W miasteczku namiotowym codziennie jakiś ślub. A u nas taka atmosfera, że nic tylko się powiesić. Inna sprawa, że Ukraińcy są z natury weselsi. Może przez lepszy klimat? Zobacz, nawet mistykę mają normalną, życiową, a nie jak u nas, masochistyczną.

Nikita nie mógł wydobyć z siebie głosu. W milczeniu wyciągnął Roszczyna z powrotem na Newski. Roszczyn zasepił się jeszcze bardziej.

Starców na skrzyżowaniu ciągle przybywało. Mówili coraz odważniej.

- Zaraz przedwczoraj, kiedy pierwszy raz wyszliśmy na ulicę, zaczęli nam grozić. Wracam do domu, a za mną jedzie samochód. Ty prowadzący, krzyczą, już cię namierzyliśmy! -mówiła postawna staruszka, trzymając się za bok. - A wczoraj wracam i znowu podjeżdżają, dwa samochody! Wyszli, sześciu ich było. Na jedną staruchę! Wykręcili mi ręce, mamy cię, suko, mówią! Do mnie! Do kobiety z siódmym krzyżykiem na karku! Powalili na ziemię, zaciągnęli po schodach na komisariat, pobili. Pałkami. Po szwach, mam szwy po operacji. Jeszcze w chwili śmierci będę widzieć te rechoczące faszystowskie mordy!

- Który to komisariat? Pamięta pani? - wtrącił nagle Roszczyn.

- A co mam nie pamiętać? Nasz, siedemdziesiąty dziewiąty, na Sadowej.

- Wyszadź ich w powietrze - zacisnął zęby Roszczyn, zapisując adres w notesie. - Gdyby nie córka, dawno już rzucałbym bomby! Ale spokojnie. Jak tylko podrośnie, wyrównam wszystkie rachunki! Mam tu już całą listę! Z tymi bestiami nie ma innej rozmowy!

- Też mi mścił! - uśmiechnęła się cierpko kobieta. - Zabić to żadna sztuka. Lepiej pilnuj, żeby dzieci wychować na dobrych ludzi! Nie na takich, co pałkami łamią starcom żebra! Albo żeby chociaż miejsca w tramwaju ustępowały.

- Cierpliwości! To już agonia. Federacja zdycha! Najwyższa pora! Imperium na glinianych nogach! - wrzasnął rudy grubas, przyciskając do piersi pocztówkę z widokiem klasztoru na Solówkach. - Koniec Federacji! Nasza ojczyzna to północna Ruś! Tam jest życie! Nadzieja! Źródło historycznej witalności! Tam jest nasza ziemia obiecana, nasze utopijne państwo, na wiecach w Nowogrodzie, w drewnianych cerkwiach, w pomorskich bajkach!

Z drugiej strony podjechała czarna limuzyna na sygnale. Z limuzyny ospale wysiadł człowiek z piętnem posła na twarzy i zaczął rzucać w tłum pieniądze. Tłum zaszumiał i zwrócił się ku niemu. Rudy prorok został sam. Rozglądał się zdezorientowany i wołał:

- Dokąd! Dokąd, Rosjanie! Słowianie! Gdzie wasza północna duma! Stójcie!

Ale nikt go nie słuchał.

Wysoki chłopiec skoczył na posła z okrzykiem „Hańba!”. Złapał pięćset rubli i usiłował je porwać. Ochroniarz, wielki jak słup wysokiego napięcia, w za ciasnej marynarce, niezauważalnym ruchem powalił chłopca na asfalt, lekko przycisnął kolanem, delikatnie odebrał banknot, wyglądził i starannie schował do kieszeni.

Posł skrzywił się pogardliwie i dalej rozrzucał kasę, teraz już tysiącami. Nikita pomógł chłopcu wstać.

- Boli! Boli! - powtarzał chłopiec, otrząsając się i przygryzając wargi.

- Mocno ci przyłożył? - zapytał Roszczyn.

- Nie o to chodzi! - prychnął chłopiec i zajrzał Nikicie w oczy. - To boli!

Nikita w milczeniu skinął głową.

- Mam w dupie wstyd! Mam w dupie honor i godność! Kiedy nie masz co jeść, wszystko jest nieważne! - miotał się staruszek o wyraziście semickiej powierzchowności. - Zanim się zbiegli, złapałem trzy banknoty. To kilka moich miesięcznych emerytur! I komu powinno być wstyd? Mnie? Czy tym, którzy mnie do tego doprowadzili?

- Hańba, naprawdę hańba! - poparła go staruszka w czarnej chustce. - Co my jesteśmy winni? Wygraliśmy wojnę, odbudowaliśmy kraj z ruin. Całe życie przepracowaliśmy dla lepszej przyszłości. No i mamy tę przyszłość! Na śmietnik nas wyrzucają, żebyśmy szybciej zdechli!

- Ale własne dzieci pani nie opuściły! - znów wtrącił się Roszczyn. - A to znacznie ważniejsze niż jakieś tam państwo!

- Może dla pana - odpowiedziała staruszka. - Wy możecie już żyć dla siebie i dla rodziny. A my, co tu gadać. Praca do nocy, córka sama w

domu, mąż nie wrócił z wojny. Przyjdiesz, walisz się spać, a od rana to samo - zrywasz się na gwizdek i hajda! Myślałam, jak ta głupia, że wszystkie radzieckie dzieci muszę wykarmić, to i robiłam jak wół. Głupia, głupia... Własna córka chowała się jak sierota, tyle ją widziałam, co jak spała. Cherlawa, urodzona pół roku przed blokadą. No i wyrosła taka bida z nędzą, wszyscy mężowie rzucali ją z dziećmi na rękach. Trzech wnuków zostawiła. Ech, żebym ja wtedy wiedziała, jak to będzie...

Staruszka westchnęła i otarła oczy

- Czyli dla pani zdrada ze strony państwa to przeżycie głęboko osobiste... - próbował podsumować Roszczyn, ale zamilkł, bo Nikita szturchnął go pod żebra.

Staruszka mówiła dalej, teraz już w przestrzeń:

- A moja Olga poszła za mną do fabryki. W dziewięćdziesiątym szóstym przestali im płacić pensje, pół roku gotówki na oczy nie widzieli. Byłam już wtedy na emeryturze, chodziłam z dziećmi handlować książkami na ulicy. Kupowali mało, częściej wymieniałam na kaszę. Któregoś dnia wracamy, a Olga wisi w kuchni. Nie wytrzymała. „Nie mogę już patrzeć w te ich głodne oczy”, napisała. We wszystkich gazetach potem o tym było, wielka afera, zaraz znaleźli pieniądze na zaległe pensje. Nawet za pogrzeb zwrócili. A ja chodzę po podwórzu, patrzę na te pieniądze przekłete i tylko się śmieję. Sąsiedzi siłą mnie uspokajali...

- Niech nam pani wybaczy - powiedział cicho Nikita i ziemia znów uciekła mu spod nóg.

- A tobie, chłopcze, niby co do tego? - prychnęła staruszka.

Roszczyn w niedobrym przeczuciu złapał Nikitę za łokieć i pociągnął za sobą. Nikita skrupulatnie przestawiał miękkie nogi, ale szybko zapomniał, jak to robić, potknął się i upadł na kolana.

„Jasia” - zdążył jeszcze pomyśleć; potem Newski stanął dęba, a niebo zakotyssało się i zalało lewe oko Nikity.

Ocknął się przy okrągłym słupie reklamowym. Przygnębiony Roszczyn palił papierosa.

- Przyszł gońiec od gubernatora - powiedział. - Gubernator przeczytał petycję i uznał, że żądania są całkowicie bezpodstawne, prawo dobre, a starcy to zwykli zadymiarze. Zaraz będziemy tu mieli Krwawą Niedzielę! Siedz, pójdę posłuchać, co ludzie mówią.

Wrócił jeszcze bardziej przygnębiony.

- Będą iść do Moskwy, po prawdę. Do prezydenta. Piechotę. W głowie mi się nie mieści.

Nikita spróbował wstać.

- Dokąd? Siedz! - Roszczyn szarpnął go za kurtkę i nogi znów odmówiły Nikicie posłuszeństwa.

I wtedy ich zobaczył. Gromadzili się kilka metrów od słupa reklamowego. Ich miny nie pozostawiały żadnych wątpliwości: to oni, ci, którzy chcą iść



do Moskwy. Milczeli. Nikita dostrzegł wśród nich kobietę pobitą na komisariacie, i tę, której powiesiła się córka.

Niezaczepiani przez nikogo ruszyli w stronę Moskiewskiej. Nikita z Roszczynem poderwali się i pobiegli za nimi.

Na placu Siennym staruszkowi w jasnym płaszczu zrobiło się słabo. Wachlował twarz rozcapierzoną dłonią i rozpaczliwie łapał oddech ustami.

- Co jest? Co jest? - dopadł go Nikita. Staruszek wskazał palcem pierś.  
- Serce? - staruszek skinął głową. Nikita popędził do apteki.

- Szybciej, szybciej, bo pójdą! - poganiał go staruszek, wrywając z rąk listek walidolu. - Pójdą sobie beze mnie, tak nie może być!

- Może lepiej, żeby pan został w domu? - zaproponował Roszczyn. Staruszek spopielił go wzrokiem. I ściągnął brwi.

Nikita raz jeszcze zajrzał do apteki i kupił za wszystkie pieniądze, jakie mu zostały, tabletki na serce i na nadciśnienie. Wiedział już, że ich nie powstrzyma.

Kiedy wrócił, Roszczyn tłumaczył coś ekipie telewizyjnej, a staruszek, prawie całkiem spokojny, ocierał pot wielką, kraciastą chustką. Przyskoczył do niego operator w czerwonej bejsbo-lówce, kucnął i zaczął kręcić.

- Jestem weteranem Wojny Ojczyźnianej. Trzykrotnie ranny. Order Chwały za Łuk Kurski. Ledwie nadązałem wyskakiwać z płonących czołgów, a ile niemieckich spaliłem, sam już nie pamiętam - opowiadał staruszek, patrząc wprost w obiektyw. - Myślę, że wy, dzisiejsze pokolenie, zawdzięczacie mi swoje dostatnie, bezpieczne życie. Mnie i moim towarzyszom broni, żywym i martwym. Chcę wam przypomnieć o szacunku dla starszych. Po to idę do Moskwy, na Kreml... Nazywam się Matwiej Iwanowicz Nosikow.

Ekipa telewizyjna wpakowała Matwieja Iwanowicza na przednie siedzenie samochodu, sama też wsiadła i ruszyła za resztą manifestantów. Roszczyn z Nikitą pojechali tramwajem.

- Ciekawe, dlaczego tacy staruszkowie zawsze mają kraciaste chusteczki do nosa - powiedział Roszczyn. Resztę drogi milczeli.

Wieczorem wyszli już za miasto. Upadła ostatnia nadzieja, że zawrócą i pójdą do domu.

Było ich dziewięcioro: siedem staruszek i dwu staruszków. W wypolerowanych medalach odbijało się zachodzące słońce. Nadciągał wieczorny chłód. Nikita i Roszczyn kroczyli w pewnym oddaleniu, krępując się podejść czy tym bardziej zagadać.

Razem ze staruszkami szedł umierać chorąży gwardii, Gien-nadij Umiński, lat trzydzieści.

- Samuraj popelnia harakiri na oczach tego, kto go skrzywdził, i ja tak samo. Da Bóg, dojdę do Moskwy, prezydent nie odmówi im audiencji, będzie się bał skandalu. Wejdę razem z nimi, zacznę nam ścisnąć dłonie i uśmiechać się tym obleśnym uśmiechem, i wtedy się zastrzelę. Niech zobaczy!

Giennadij w marszu wyciągnął zza pazuchy dokumenty, z których wynikało, że z powodu ran odniesionych w Czeczenii stracił w dziewięćdziesięciu procentach zdolność do pracy.

- Z takimi papierami mogę co najwyżej robić szczotki w zakładzie pracy chronionej - mówił chorąży, utykając na prawą nogę. - Według prawa państwo, które mnie okaleczyło, powinno za to zapłacić. Ale nie płaci. Trzy lata chodziłem po sądach. W końcu powiedzieli, że zostałem ranny podczas działań wojennych, a za to nie odpowiada nasz kraj, tylko tamten, z którym walczyliśmy. Czyli sędzia po odszkodowanie wysłał mnie do Maschadowa. I faktycznie, zaraz następnego dnia Maschadow oświadczył w Al-Dżazirze czy jakiejś innej TV Kaukaz, że co miesiąc będzie płacił mi kwotę, o jaką wystąpiłem do Ministerstwa Obrony. Skoro Rosja nie potrafi zadbać o swoich weteranów. Pewnie nie rozumiecie, ale ja jestem żołnierzem, nie da się żyć po czymś takim, przecież składałem przysięgę, a Maschadow to wróg!

- I co na to Ministerstwo Obrony? - zapytał Roszczyn.

Chorąży wulgarnie zaklął i splunął na drogę.

- Odmówili komentarza. Nie ma sprawy. Wróg płaci renty naszym żołnierzom - i dobrze. Wiadomo, że mają nas w dupie, zawsze po ich wojnach śpiewamy w metrze rzewne pieśni, żeby uzbierać na proteżę. Ale chociaż za siebie powinni się wstydić!

Chorąży Giennadij chciwie palił papierosa i jakiś czas kuśtykał w milczeniu. Weterani drugiej wojny światowej szli nieco z tyłu.

- Najpierw nic nie wiedziałem. Nie mam telewizora. Nagle dzwonią dziennikarze. Tak i tak, mówią, Ministerstwo Obrony odmawia komentarza, może sam coś powiesz? Kurwa, mówię. Pewnie, że powiem! Tylko uważajcie, żeby wam za to nie pozamykali waszych telewizji i gazet! Zaprosiłem ich wszystkich na piątą do przejścia podziemnego na Sadowej. Pożyczyłem od sąsiada akordeon, obwiesiłem się medalami i poszedłem. Rzuciłem czapkę na ziemię, siedzę i wyję: „W Afganistanie, job waszu mać, w czarnym tulipanie, żeby go szlag!”. Przyjechali paparazzi. A ja nic, napierdalałem na harmoszcze. Skoro moje państwo porzuciło mnie na pastwę losu, mówię, tak będę zarabiał na życie. Będę żebrał u rodaków, będę żarł gównem, jak parszywy pies, ale od wroga nie wezmę ani kopiejki. Niech Maschadow wsadzi sobie te tysiące w czarną dupę! A jeszcze lepiej - niech je wyśle ministrowi obrony w ramach pomocy humanitarnej! Koledzy mówili mi potem, że ten tekst o ministrze wszystkie stacje wycięły.

Emeryci postanowili przenocować na przystanku autobusowym. Usiedli rządkiem na ławce i opuścili głowy. Nikita zajrzał do pobliskiej wsi po jedzenie. Jedzenia nie dostał, nikt nie uwierzył w staruszków idących z Petersburga do Moskwy.

- Ech ty, żołnierzyku! Nawet prowiantu nie potrafisz skołować - powiedział Giennadij, waląc Nikitę ciężką łapą w ramię. - Pewnie proszę-dziękuję, przepraszam-będę wdzięczny? A z nimi nie ma co się

patyczkować! Jak będziesz taki mięczak, zjedzą cię na śniadanie, nawet okiem nie mrugną, tacy teraz ludzie. Za grosz sumienia nie mają.

- Jakie czasy, tacy ludzie - rzucił Matwiej Iwanowicz.

- Toż mówię, ojczulku. Wszyscy zrobiliśmy się z żelbetonu. Z ekranami plazmowymi zamiast serca. Dobra, idę sam -chorąży zasalutował i ruszył w ciemność. Po chwili odwrócił się i wskazał Nikitę: - A ten jest za miękki, nie na nasze czasy! - i zniknął.

Wrócił z siedmioma bochenkami chleba i bańką mleka. Staruszkowie przed snem na wszelki wypadek pożegnali się ze sobą.

- Jak przed bitwą - powiedział chorąży, wyciągając się na trawie za przystankiem. - Dziabniez sobie sto gram za spokój duszy kolegów i własnej, na wszelki wypadek, i jazda na Czeczenów.

- My broniliśmy *swojego* kraju przed najeźdźcą, a wy? - dobiegł z przystanku głos Matwieja Iwanowicza.

Chorąży Giennadij prychnął i głucho rzucił w przestrzeń:

- A my, ojczulku, wypełnialiśmy rozkazy. Sam wiesz, że żołnierz nie jest od myślenia. Śpij, jak masz spać, nie ma co się klócić. Teraz razem idziemy umierać.

2 8

o świecie ruszyli dalej. Lodowata noc zatarła niewidzialną granicę, dzielącą poprzedniego dnia starych od młodych. Teraz szli razem. Nikita wpadł w jakąś rozpaczliwą desperację, nie krępował się już ani nie wstydił swojej młodości i zdrowia.

Brał pod rękę coraz to innego staruszka i drobiazgowo przepytował o życie. Chciał wlać ich w siebie, jak w solidniejsze naczynie. Zapamiętać i zanieść dokądś, zachować. Nie wiedział jeszcze, dokąd. Staruszkowie bez wahania zaakceptowali go w roli kronikarza.

Pod wieczór Nikita rozdał wszystkie tabletki. Teraz szli już bardzo wolno. I marzli. Zamarzali. Ale nikt się nie skarżył.

- Wychowała nas wojna - powiedział Matwiej Iwanowicz bez zbędnego patosu, kiedy Roszczyn zaczął mamrotać coś o sile ducha. - Potrafimy umierać z godnością.

- Wciąż nie rozumiem, po co do niego idziecie? - pytał nerwowo Roszczyn, kiedy już w końcu odważył się coś powiedzieć. - Do prezydenta, po prawdę! Przecież wiecie równie dobrze jak ja, że to nic nie zmieni!

- Myślisz, że idziemy do niego? na Kreml?

- A niby dokąd?

- Do ciebie - powiedział raptem staruszek i uważnie spojrzął na Roszczyna. - I do niego. Do Nikity. Do was. Co, myślałeś, że do cara, po prawdę? O nie, nie...

Pod wieczór znów przyjechała telewizja. Nikitę mdliło, kiedy patrzył, jak dobierają odpowiedni kąt, filmując ledwie wlokących nogi starców.

- Niech no się pani ustawi, żeby nie było pod słońce - mówił energiczny korespondent, kręcąc wyczerpaną staruszką jak jakimś manekinem. - Proszę powiedzieć, jaki jest cel waszej akcji? Kto ją zaplanował? Czy to prawda, że komuniści płacą wam za...

Nikita wyrwał mu mikrofon.

- Ślepi jesteście? - wrzasnął, spadając w jakąś otchłań. - Co, nie widzicie? Oni idą umierać! Umierać! Jacy komuniści? Jaka akcja? Śpią na gołej ziemi! To przecież wasze matki i wasi ojcowie, dlaczego jesteście tacy obojętni?!

- Aaa - połapał się korespondent, początkowo nieco zagubiony. - Więc to pan jest organizatorem! Proszę powiedzieć, dla kogo pan pracuje? Kto panu płaci?

Nikita zebrał się w sobie i możliwie spokojnie odpowiedział:

- Co do pieniędzy, to miałem dwieście rubli, kupiłem za nie lekarstwa na serce i na nadciśnienie, ale właśnie się skończyły. Jedzenie zdobywa po wsiach weteran z Czeczenii, z gardła ludziom wyrывa! - zakrzuszył się, machnął ręką i odszedł od kamery.

Jego miejsce zajął Roszczyn:

- Nasz prezydent ma oczywiście w dupie to, co się tutaj dzieje. Potem zagraniczni dziennikarze zapytają go: a co z waszymi staruszkami, jak sobie radzą bez ulg? A on się uśmiechnie i powie: nic, umarli. Wiadomo, czego się po nim spodziewać.

Ale wy! Wy przecież jesteście ludźmi! Zróbcie coś! Przywieźcie nam chociaż koce!

Sympatyczna stażystka z warkoczykami wybuchnęła płaczem i uciekła do mikrobusu. Po chwili wróciła, wcisnęła Nikicie papierową torebkę z kanapkami i, chlipiąc, obiecała, że teraz już za nic na świecie nie chce być dziennikarką, pójdzie na jakieś studia dla pracowników socjalnych. Telewizja odjechała. Słońce zaszło. Staruszkowie wciąż szli.

Późnym wieczorem, kiedy wyemitowano reportaż, do procesji zaczęły podjeżdżać samochody. Ludzie zwozili koce, gorącą herbatę w termosach i lekarstwa. Za kolumną jechała teraz wolniutko karetka pogotowia. Surowy młody lekarz co chwila doganiał staruszków, mierzył im ciśnienie, kręcił głową i robił zastrzyki.

O trzeciej w nocy karetka zabrała kobietę pobitą na komisariacie. Miała atak serca. Nazywała się Galina Siergiej ewna Tołmaczowa. Nikita pamiętał każdy szczegół jej życia. I niósł ją dalej. Przez pola, przez noc, z Petersburga do Moskwy.

- Rozejrzałem się wtedy i w duszę mą wlały się cierpienia ludu - mamrotał Roszczyn. Potykał się o kamienie i osłaniał cytatami z Radiszczewa przed nieskończoną a namacalną grozą tej nocy na drodze.

Nikita brał grozę na klatę, wcale się przed nią nie broniąc. Brał ją na gołą duszę. Zaczynał tracić rozum. Nad ranem namawiał już staruszków, żeby to wszystko rzucili i jechali do Górek. Giennadij z Roszczynem szli z tyłu, weteran mówił zatroskany:

- Boję się, że on tego, sfiksuje. Za bardzo to wszystko przeżywa. Jak by go tu odprawić na tyły?

Z pierwszymi promieniami słońca otoczyła ich horda mikrobusów, opancerzonych antenami satelitarnymi, i podejrzanych

czarnych samochodów na niebieskich tablicach. Staruszkowie zbili się w stadko i przystanęli, ramię przy ramieniu. Operatorzy biegali i wołali, że za chwilę przyjedzie sam prezydent, a potem zaczęli nerwowo rozstawiać kamery.

Dołączyli dziennikarze z zagranicy. Korespondentka „La Liberation” uporczywie zadawała wszystkim wciąż to samo prowokacyjne pytanie: „Komu się na Rusi dobrze dzieje?”.

Karetka zabrała kobietę, której powiesiła się córka. Annę Michajłownę Romanowa. Miała nagły skok ciśnienia tętniczego. Dwie godziny czekali. Nie wiadomo na co. Nerwy mieli zjedzone do cna, do dymiącej pustki.

- Nie rozumiem, co my tu robimy! Nie rozumiem! Nie chcę rozumieć!  
- powtarzał Roszczyn. Siedział na poboczu plecami do szosy i bezmyślnie rwał zakurzoną trawę.

2 9

Nagle tłum dziennikarzy westchnął, zadrżał i zastygł. Na szosie pojawił się niepozorny człowieczek w szarej marynarce.

Szerokim gestem zatrzymał ochroniarzy dobre sto metrów od staruszków. Nie miał się czego obawiać. Przed jego przybyciem każdego kilkakrotnie obszukali mundurowi. U chorążego gwardii Giennadija znaleźli pistolet. Zwinęli weterana do czarnego auta.

Mimo tego człowieczek nie podszedł zbyt blisko; wypo-środkował między szacunkiem a obrzydzeniem. Zatrzymał się i obciągnął maleńką marynarkę.

- Jak tam, dobrze mnie widać? - zapytał ze swoim firmowym, obleśnym uśmiechem. Operatorzy przytaknęli. Tekturowy człowieczek odwrócił się do starców.

- To co, pospacerowaliście sobie? Może wystarczy?

- Jak śmiesz! - wrzasnął Nikita, sam nie wiedząc, co robi. -Ty! Ty! Uklęknij przed nimi! Na kolana!

Wargi człowieczka dziwnie się rozciągnęły. I w tejsze sekundzie Nikita łupnął pięścią prosto w żabi uśmiech. A potem raz jeszcze, i jeszcze. Zdawało mu się, że bije figurę woskową.

- Przestań! - wołał ktoś do Nikity. A może on sam tak krzyczał, żeby człowieczek w końcu przestał się uśmiechać.

Nikitę powalili na asfalt. Tracąc przytomność, zdążył się jeszcze zdziwić, ilu ten mały człowieczek ma wielkich ochroniarzy.

Potem była przepaść. Nikita spadał w nią i tracił siebie, i leciał bez końca. I ciągle mu się zdawało, że głębiej się już nie da. Ale nadal leciał.

Potem otworzył oczy i zobaczył sufit. Natychmiast zmrużył powieki, żeby się nie rozpraszać, i sprawdził, czy pamięta historie, które powierzyli mu starcy. Pamiętał. Wówczas poruszył się i zawył. Okropnie bolała go głowa, potylicą, a żebra z każdym oddechem dziurawiły płuca.

Znowu mdlał. Ktoś szarpał go za ramię. Przed oczami pływała posiniaczona twarz Giennadija:

- Brawo, kolego! Teraz obaj jesteśmy przestępcami politycznymi! Siedzimy w więzieniu, w Lefortowie, czekamy na rozprawę. Zamach na prezydenta. Nieźle, co? Cały kraj już o nas gada.

- A om? - wykrztusił Nikita. Nie mógł poruszać wargami.

- Trzymają się! - odpowiedział raźnie chorąży. - Odmówili powrotu.

Po tym, jak się odwinęła, wybuchła regularna zadyma. Widziałem z samochodu. Pół oka mi zostawili, wystarczyło. W końcu zapakowali cię do suki i przywieźli tutaj. A problem został. Idą dalej. Ten tam już ich więcej nie zaczepiał. Wysyłał tylko swoich przydupasów. Całe bestiarium. A staruszkowie nic - idą. Nigdzie nie wracamy, powiedzieli. Zmieńcie prawo i wypuście Nikitkę i Gienę. A tam już zagranicznych korespondentów jak mrówek, afera na pół świata!

Nikita poprosił o papier i długopis. Napisał na kartce: „Krucjata starców” i opadł z sił. Zaczął dyktować chorążemu historie tych, którzy szli do Moskwy. Giennadij klął, długopis co chwila wypadł mu z niewprawnych palców, pocił się, ale pisał. Potem poszedł na widzenie z adwokatem, zabrał kartkę i już nie wrócił. Nikicie przynieśli zupę. Popatrzył na aluminiową miskę i zrobiło mu się niedobrze.

- Nie będę jadł - powiedział Nikita do smutnego człowieka, który schylał się nad nim, i nieoczekiwanie dodał: - Dopóki nie zniosą tego głupiego prawa.

I uśmiechnął się. Nie miał już nic do stracenia.

Znów minął jakiś czas. Miski z zupą stały już jedna na drugiej i w końcu przestano-je przynosić. A Nikita zaczął śnić sny.

Rzeczywistość niemal mu nie przeszkadzała. Na początku odróżniał jeszcze sen od jawy po napięciu, z jakim unosił powieki. Potem nie miał już sił, żeby otwierać oczy, i dwa światy radośnie mu się przemieszały.

Pewnego razu Nikicie przyśnił się Nikołaj Gumilow. Chodzili razem po krętych petersburskich podwórkach i szukali zakonspirowanego mieszkania, ale wszystkie punkty były spalone, więc szli dalej, pod lepkiemi latarniami, pośród ga-dzio wijących się łańcuchów u drzwi.

Gumilow miał na sobie mundur z epoletami, był łysy i bardzo smutny.

„Wielu zamykali i rozstrzelali jako rzekomych szpiegów i rzekomych spiskowców” - skarżył się Nikołaj Stiepanowicz Gumilow. - „A ja naprawdę jestem szpiegiem! I naprawdę stałem na czele spisku! Wiesz, jak się teraz głupio czuję? .

Gumilow prosił, żeby Nikita zrobił bombę. Nikita wymigiwał się, mówił, że nie umie, a Nikołaj Stiepanowicz kręcił głową i gorzko szeptał: „Niedobrze, oj, jak niedobrze!”.

Nikita nie wytrzymał i zapytał:

„Przecież ciebie już dawno rozstrzelali, po co ci teraz bomby?”. Nikołaj Stiepanowicz Gumilow obraził się, ale odpowiedział. Ze smutkiem w głosie. „Przecież nie byłem poetą, który spiskował. Byłem spiskowcem, który pisał wiersze!”

Następny sen był o Czeczenach, którzy wzięli zakładników, w tym Nikitę. Nikita, nie wiedząc czemu, w ogóle nie bał się brodatych ludzi z kałasznikowami. Przechadzał się między nimi i wypytywał o jakieś sprawy zupełnie niezwiązane z sytuacją.

Na przykład młodego terrorystę Mowsara, nerwowo palącego na parapecie, zapytał:

„Czy czułeś kiedykolwiek, że Bóg ci pomaga?”

„Allah zawsze jest ze mną!” - warknął nieufnie Mowsar, na wszelki wypadek celując do Nikity z kałasza.

„Wiadomo - ciągnął temat Nikita - ale kiedy było już tak źle, że pomóc mógł tylko cud?”.

„No, w dzieciństwie. Byłem malutki. Pośliznąłem się i wpadłem do rzeki. Prąd znosił mnie w stronę wodospadu. Nawet dorosły mężczyzna nie poradziłby sobie, a co dopiero dziecko. Błękitne niebo, słoneczko. Nie chciałem umierać. Zacząłem modlić się do Allacha, żeby mnie uratował, dał mi jeszcze popatrzeć na słońce, pożyć pod błękitnym niebem. Wtedy fala uniosła mnie i delikatnie wyrzuciła na wielki kamień na brzegu. Nawet się nie bardzo potłukłem. Cud”.

Pozostali Czeczeni porzucili swoje zbrodnicze zajęcia, obścąpili Nikitę i też usiłovali mu coś opowiedzieć. O rodzicach, o pierwszej miłości, o poranku w górach i o tym, że kiedy długo patrzysz na górski strumień, wydaje się, że woda płynie w górę, a nie w dół, jak Allah przykazał.

„Niedługo wszyscy zginiemy, ale ty obiecaj, że jeśli uda ci się uratować, nie zapomnisz, będziesz zawsze pamiętał nasze słowa. Zostaniemy w nich po śmierci” - mówili Nikicie Czeczeni. Nikita obiecał.

Czeczeni zaufali mu i wysłali na negocjacje. Nikita miał wyjść na środek cieniściego, wciąż ostrzeliwanego podwórza, wystąpić przed kamerami telewizji Al-Dżazira i przedstawić na żywo żądania terrorystów.

Nikita mijając zakładników wziął za rękę małą dziewczynkę. Uniósł głowę i spotkał się spojrzeniem z Mowsarem. Uśmiechnął się do niego i poszedł. Mowsar nic nie powiedział.

I nagle we śnie zjawiała się Jasia. Wychyliła się zza pleców Mowsara i krzyknęła do Nikity:

„Jakkolwiek skończy się ta walka, ty już w niej zwyciężyłeś!”

Nikita stał przed kamerą i czytał z kartki tekst, zatytułowany *Ultimatum Iczkerii*. Małą, wczepioną w jego dłoń łapkę dziewczynki ufnie przekazał operatorowi.

Doczytał ultimatum, odwrócił się i poszedł z powrotem. Sam.

„Idiota! - powiedział Mowsar. - Po co wracałeś? Wysłaliśmy cię specjalnie, żebyś uciekł. Żebyś żył i niósł nasze historie!”.

Potem były sny o tym, co dzieje się w sąsiednich celach. A może nie sny, może z wyczerpania Nikita zaczął widzieć przez ściany. W każdym razie wiedział, że w korytarzu obok siedzi dwu jego starych znajomych. Drgawa, maniak Jasi, i Alosza, rycerz Ali.

Drgawa też czekał na rozprawę i też był oskarżony o zamach na prezydenta. Zamach wyszedł mu raczej zabawny. Podczas wizyty w spokojnym miasteczku nad Wołgą dostojny gość wybrał się pod pomnik ofiar białogwardyjskiej kontrrewolucji. Pomnik stał naprzeciwko domu Drgawy.

Dzielny komsomolec ledwie rozlepił oczy po kolejnym samotnym pijaństwie; dręczyły go straszny kac i wyrzuty sumienia z powodu przegranego życia, życia bez bohaterskich czynów godnych komunisty.

I akurat wtedy za oknem zawyły syreny, a posterunkowi wstrzymali ruch na ulicach; do Drgawy dotarło, że przyjechał prezydent.

Wyciągnął ze schowka żmijkę hydrauliczną, zacisnął zęby i ruszył w gęste masy ludowe, witające swojego pasterza.

Odłowił go pierwszy napotkany ochroniarz, jednak Drgawa zdążył wyrwać się na chwilę, rzucić żmijką jak lassem gdzieś w stronę prezydenta i wrzasnąć: „Precz z samodziem!”.

Potem został powalony na ziemię.

Dzięki jawnej niepoczytalności Drgawy wszystko skończyłoby się pewnie piętnastoma dobami aresztu albo skierowaniem do szpitala psychiatrycznego, ale nie: z uporem powtarzał podczas przesłuchań, że „chciał ubić tę łysą mumię” i że zaraz po wyjściu z paki skończy to, co zaczął.

Nadto Drgawa nafaszerowany był reportażami o radzieckich procesach sądowych, serialami detektywistycznymi i powieściami historycznymi dla kucharzy, tworzonymi na pęczki przez byłych funkcjonariuszy KGB, którym kiedyś udało się zwać do Ameryki. W śledztwie wyrzygał to wszystko w postaci teorii spiskowych.

W natchnieniu szczegółowo opisywał rozgałęzioną sieć szpiegowską, oplatającą mackami całą kulę ziemską: spisek miał na celu zlikwidowanie przywódców wszystkich państw, z wyjątkiem Kuby i Korei Północnej. Wypatroszenie prezydenta Rosji żmijką hydrauliczną miało stać się zarzewiem światowej rewolucji.

W spisku uczestniczyli Fidel Castro, Saddam Husajn i wszyscy zmarli kumple Drgawy w komplecie. Prokuratura zabrała się do sprawdzania setek nazwisk i adresów, a zbitych komsomolca odesłano pod konwojem do głównego więzienia politycznego Rosji, Lefortowa. W ten sposób władze przyznały, że przynajmniej na jotę uwierzyły w chore fantazje Drgawy.

Jego kolega z celi, spokojny programista Alosza z podmoskiewskiego Podolska, również siedział za wirtualne przestępstwo. Konkretnie za atak hakierski, który zablokował wszystkie archiwa na wewnętrznym serwerze FSB.

Okazało się, że małowówny Alosza, na pozór zawsze daleki od polityki, również był przekonany, że kraj znów stoi na progu trzydziestego siódmego roku. Blokując archiwa, miał nadzieję ocalić życie i wolność milionów potencjalnych ofiar reżimu.

Teraz Aloszę codziennie ciągnano na przesłuchania, podczas których informatycy bezpieki pytali o tajne hasła, mogące przywrócić działanie serwera. Alosza skromnie odpowiadał, że dane przepadły bezpowrotnie.

Ala nic nie wiedziała o dramatycznym losie swojego rycerza. Alosza dobrze zapamiętał usłyszaną od Nikity historię kolejarza Nikołaja i również napisał dwanaście czułych listów. Zostawił je sąsiadce, a ta obiecała co miesiąc wysłać jeden do Odessy, na adres Żydowska 5. Ala wyjechała do rodzinnego miasta dzień przed atakiem na serwer.

Nikita wyraźnie widział, co dzieje się w celi chłopaków. Drgawa uczył Aloszę pić czaj i wkurzał się, że głupi okularnik nie docenia tego cudownego napoju.

Nikita słyszał ich rozmowę.

- Boję się, że mnie tu jeszcze przetrzymają, listów zostało już mało i Ala będzie się martwić - marudził pierwszy raz w życiu rozgadany Alosza.

- Nie łam się, chłopie! - buczał amator czaju. - Słowo komsomolca: towarzysze nie zostawią nas w biedzie! My tu sobie łapiemy karaluchy, a tam, na wolności, trwa bój, dojrzewa rewolucja. Słyszałeś, w całym kraju demonstracje! Rozpoznanie walką. A po rewolucji będzie amnezja... Tfu, jak jej tam, aneksja... Tfu, cholera!

- Amnestia? - zapytał słabym głosem zielony od czaju Alosza.

- No, amnestia, kurwa! - ryczał radośnie Drgawa i walił się pięścią w czoło z taką siłą, że nad nosem wykwiłał krwawy siniak.

Nikita wypłynął ze snów, kiedy wynosili go na korytarz. Drgawa przywarł okiem do judasza w sąsiedniej celi i poinformował Aloszę:

- Znowu kogoś wykończyli, gady! Niosą trupa, zakopią na podwórzu i koniec, kamień w wodę.

Nikite faktycznie wynieśli na podwórze. Ale nie zakopali. Na razie. Kilka chwil patrzył w rozkołysane za żelazną siatką niebo. Potem niebo zastąpił biały sufit i zapachniało lekarstwami.

W szpitalu odwiedził go Roszczyn. W fartuchu przypominał pracownika laboratorium ze spłowiałego zdjęcia w piśmie „Ogoniok”. Na widok Nikity ściągnął brwi, surowo poprawił okulary i powiedział:

- Tak. Może wystarczy już tych pokazówek? Ogłaszam koniec głodówki. Kraj potrzebuje zdrowych i silnych bojowników, a nie zdechłaków, których byle wiatr przewraca. Co się tak na mnie gapisz? Lepiej wcinaj rosół! Nic jeszcze nie słyszałeś? Rewolucja! Ojczyzna na barykadach, tylko ty się tutaj wylegujesz. Raz, raz, szybcutko, wracamy do życia, bo jak nie, historia potoczy się bez ciebie!

Nikite znów zmyło w niepamięć. Kiedy z niej wychnął, poderwał się z łóżka, wyszarpując z żył plastikowe chwasty wenflonów. W mrocznym korytarzu natknął się na Roszczyna.

- Szybciej, szybciej! Jedziemy! - krzyknął szeptem w obawie, żeby nie zbiegli się lekarze i nie przykuli go na powrót do łóżka.

- Jedziemy! - równie konspiracyjnie odpowiedział Roszczyn.

Pod szpitalem czekał na nich Junkier w swoim rozsypanych się aucie, umajonym czerwonymi flagami.

- Junkier, co ty tutaj robisz? - zapytał nieufnie Nikita, wietrząc jakiś podstęp. - Przecież jesteś w Górkach?

- W takich chwilach nie mogę siedzieć na wsi! - odpowiedział dziwnie beztrósko Junkier i włączył silnik.

- Junkier! - Nikita wczepił się w bok samochodu i za nic nie chciał wsiąść. - A po co ci te czerwone flagi?! Przecież nienawidzisz komunistów!

- Babciu, babciu, a dlaczego masz taki długi ogon? - roześmiał się Junkier. - Nie miałem wyboru, to jedyny słuszny kolor rosyjskich rewolucji.

Nikita wciąż miał wątpliwości. Jakoś za gładko to wszystko wyglądało. Ale poddał się, kiedy przy końcu Twerskiej zamajaczyły najprawdziwsze barykady. Na obłych dachach blokujących ulicę polewaczek balansowali rozradowani ludzie. Podtrzymywali się nawzajem, śmiali i spoglądali w stronę Kremla. Junkier zahamował.

Obok samochodu przegalopował tabun nieletnich radykałów. Każdy z nich tasczył na ramieniu zwinięty sztandar. Palili w biegu i rozglądali się nerwowo.

Barykady z oklejonych plakatami ławek, zrzuconych w poprzek Twerskiej, pilnował wąsaty facet w wojskowej pelerynie. Trzymał w rękach drewniany karabin.

- Dlaczego macie nieprawdziwą broń? - dopytywał nieufnie zza ławek jakiś obywatel.

- Bo robimy bezkrwawą rewolucję - odpowiedział ochotczo facet. - Taką, jak na Ukrainie, bez jednego wystrzału, samą wolą ludu!

- A ja słyszałem, że do Moskwy ściągają wojsko - wtrącił się chłopak w czarnym, inkwizytorским kapturze i skórzanej kurtce. Wyglądało na to, że porzucił tabun radykałów i szukał nowego. - Ej, towarzyszu, może kopniemy się pod Biały Dom sprawdzić, jak tam sytuacja? - powiedział, wsuwając głowę do samochodu.

Kiedyś za taką bezceremonialność Junkier momentalnie zrobiłby mu piekło. I kaptur polazłby sobie na Krasno-priesnieńską pieszo. Bo metro, jak wyjaśniono Nikicie po drodze, nie działało już od pierwszych dni buntu, oczywiście z powodu zagrożenia dywersją.

Ale Junkier złagodniał - czy to na wsi, czy dzięki rewolucji - więc zamiast nawrzeszczeń na chłopaka, otworzył mu drzwi i pojechał pod Biały Dom.

Chłopak rozglądał się na wszystkie strony i podskakiwał na siedzeniu.

- Co jest? - zapytał Roszczyn.

- A, cholera, nic z tej rewolucji nie rozumiem. Co się dzieje? Co robić? Dokąd iść? Wszędzie barykady, telewizja nie działa. Każdy mówi co innego. W bunkrze pusto. Wygląda na to, że nikt mnie nie potrzebuje. Chodzę, skaczę, biegam -a wszystko i tak dzieje się samo, bez mojego udziału. Nie tak wyobrażaliśmy sobie rewolucję. Myśleliśmy, że będziemy mieli na to wszystko wpływ. Że będziemy walczyć do ostatniej kropli krwi!

- Ciesz się, głupi, że nikt ci nie każe lecieć z motyką na czołgi. Młody jesteś, całe życie przed tobą! - zawołał Roszczyn.

- Młodzi też mają prawo ginąć za sprawę! - chłopak patetycznie zacytował czyjś truizm, wmontowany mu w głowę przez partyjną propagandę. - Niepełnoletni też człowiek! Dlaczego nie możemy świadomie decydować o swoim własnym życiu?!

- Hej, daj no sobie spokój z cytowaniem wodza! - przystopował go Roszczyn. - Nie o tym mówię, jakbyś nie zauważył. Pobiegacie tutaj, pokrzykujecie, przegłodzicie się na chińskich zupkach, bo sponsorowi szkoda kasy choćby na dobry barszcz, i któregoś dnia zniemacka wybiorą wam nowego prezydenta. Zrobią bezpłatny koncert, może nawet jakieś fajerwerki - i koniec! Rewolucja zwyciężyła, dziękujemy, prosimy rozejść się do domów.

- Wiem. I wrócimy do bunkra pić piwo, a oni znowu podzielą między siebie teczki i kopalnie ropy. A co do motyk i czołgów, wolałbym zginąć w uczciwej walce, niż latać tak bez sensu między rządem a parlamentem i próbować zrozumieć, co się tutaj dzieje. A tymczasem upiory z wielkimi portfelami, nie lepsze od poprzednich, tylko jeszcze nieopite krwią, decydują o wszystkim za nas!

Chłopak odwrócił się do okna i prychnął. Moskwa rozplynęła się Nikicie w oczach, zwinęła w kulkę i znikła. Jeszcze sekundę patrzył na znajomy sufit nad łóżkiem, ale potem otrząsnął się z rzeczywistości i wrócił do historii.

Za kołnierz kapał mu drobny deszcz, przed oczami płynęła ołowiana rzeka Moskwa. Siedział na asfalcie, oparty o koło samochodu. Junkier i Roszczyn palili nieopodal. Chłopak w czarnym kapturze gdzieś zniknął.

Pod Białym Domem też nic się nie działo. Ludzie snuli się bez celu, pytali jeden drugiego, co słychać, i całkiem nie wiedzieli, co ze sobą począć. Tylko żwawy staruszek z harmoszką czuł się jak u siebie. Siedział na drewnianej skrzynce przy cokole pomnika bohaterów rewolucji 1905 roku i śpiewał agitacyjne czastuszki własnego autorstwa.

Wokół staruszka powoli gromadzili się zdezorientowani ludzie. Dwu krępych facetów przytupywało i usiłowało podśpiewywać „la-la-la-la”, słów nie znali. Faceci na okoliczność rewolucji strzelili sobie rano po głębszym i nie poszli do pracy. Teraz było im wesoło.

Młody fotograf w arafatce rozkraczył się na moście, łapiąc odpowiedni kadr. Wyglądał na absolutnie szczęśliwego. Dokumentował pierwsze wydarzenie historyczne, w którym zdarzyło mu się brać udział osobiście.

Nagle na Garbaty Most wbiegł spieniony człowiek z megafonem. Zatrzymał się i zachwiał, jakby zaraz miał ogłosić coś ważnego, a potem paść bez tchu, jak maratończyk. Człowiek uniósł megafon do ust i wrzasnął:

- Zaczyna się!

Tłum wpił się oczami w herolda.

- Szturm na parlament! - dokończył i westchnął w zachwycie. Ludzie zaszumieli. - Kto żyw, pod parlament! A emeryci niech na wszelki wypadek wracają do domów! Po co tu przy-leżliście?! A jak zaczną strzelać? Myślicie, że powstrzymają ich wasze medale? Do domu, wracajcie do domu!

Człowiek wsunął megafon pod pachę i pobiegł dalej. Staruszek z harmoszką zaintonował *Na barykady, ludu roboczy*. Junkier odpalił silnik. Zabrali fotoreportera i pojechali na Ochotnyj Riad.

Pod gmachem parlamentu odchodził czysty cyrk. Na podeście ze zsuniętych razem betonowych donic stali kłowni. Starzec z długą, rozwianą na wietrze brodą w skupieniu wymachiwał aksamitnym sztandarem z dwugłowym orłem. Wyszyty złotem herb co chwila pikował na stojących poniżej.

Na donice wspiął się chłopak z równiutkim przedziałkiem i wytrzeszczonymi oczami. Tłum gęstniał. Niektórzy przynosili ze sobą namioty i próbowali rozbijać je na ulicy. Skonfliktowane grupy rewolucyjnej młodzieży garnęły się do swoich sztandarów, wykrzykując nośne hasła i rzucając wrogie spojrzenia członkom grup sąsiednich.

- Nad Rosją wznosił się czerwony, falliczny słup! - chry-piał infernalnie chłopak z przedziałkiem. - To pion moralny władzy! Czerwony od krwi rosyjskich dziewic i starców!

- Dlaczego rewolucje zawsze robią tacy zakompleksieni głupole? - syknął pogardliwie Junkier.

- Bo los ich doświadczył i sami nie wiedzą, kogo za to winić - odpowiedział łagodnie Roszczyn. - A tak, wszystko jasne: są pokrzywdzeni i są krzywdziciele - globalne koncerty i dziki kapitalizm. Ale teraz to co innego. Teraz cały kraj wyszedł na ulice. I my razem z nim.

Raptem mówca zakrztusił się i z przerażeniem wbił wzrok w coś za plecami tłumu. Brodaty starzec przestał machać sztandarem. Orzeł bezsilnie zwisał z drzewca. Po rządach ludzi przebiegło falą słowo „OMON”. Cofnęli się instynktownie. Chłopak z przedziałkiem i siwy chorąży pospiesznie zeskoczyli z donic i skryli się w bezpiecznych objęciach mas ludowych. Nikita odwrócił się - nie było już z nim ani Roszczyna, ani Junkra. Tłum porwał go i odrzucił jeszcze kilka metrów, po czym ludzie stanęli jak wkopani w ziemię.

Przed nimi też stali ludzie: czarni, z tarczami z pleksi i w kaskach. Tłum skulił się i zastygł. Ze szczelin pomiędzy tarczami wyglądały lufy automatów.

- Boże, Boże, ja tu tylko pracuję! Wypuście mnie, natychmiast! - krzyczała wychylona przez okienko kiosku młodzianka kwiaciarka. Całkiem niechący znalazła się w centrum wydarzeń. - Chcę do domu! Nie mam z tym nic wspólnego! Ja tylko sprzedaję kwiaty!

Nikita przemknął pod czymiś łokciami i wszedł do malutkiej kwiaciarni, obstąpionej ze wszystkich stron przez groźny tłum.

- Po co się wychylasz? - powiedział do kwiaciarki. - Zamknij drzwi i siedź cichutko, bo jak nie, to cię stratują. Jeżeli zaczną strzelać, połóż się na podłodze. Spokojnie, spokojnie, wszystko będzie dobrze.

- Bo-o-o-ję się - zawyla dziewczyna, żałośnie rozciągając „o” do granicy płaczu. - Bo-o-o-ję się!

Nikita pogłaskał ją po głowie i zatrzymał dłoń na ciepłym karku. Dziewczyna chlipnęła i zamilkła. Schowała twarz w dłoniach. Nikita patrzył na ulicę przez pęki czerwonych róż. Demonstranci i OMON stali nieruchomo naprzeciw siebie. Zdawało się, że kilka tysięcy ludzi w cieniu

gmachu parlamentu jednocześnie wstrzymało oddech. Między zbitymi w kupę ludźmi a szpalerem automatów powstał pas ziemi niczyjej.

Nikita wyciągnął z wiadra pęk białych goździków, pocałował czarne włosy dziewczyny, pachnące wszystkimi kwiatami świata, wyszedł i skierował się w stronę OMON-U. Ludzie w milczeniu rozstępowali się przed nim i zlewali z powrotem zaraz za jego plecami.

Bardzo szybko Nikita znalazł się na skraju pasa ziemi niczyjej. Przekroczył jego krawędź jak spadochroniarz robiący krok z otwartego luku samolotu.

Szedł powoli, jak we śnie, co chwilę kryjąc twarz w mokrych białych płatkach, żeby nie czuć się tak strasznie samotnie. Wokół panowało milczenie głębokie jak Rów Mariański. Cały świat zastygł i czekał.

Minęła wieczność. Nikita doszedł do ściany tarcz, wyjął z bukietu biały goździk i wsunął go w wycelowaną wprost w niego lufę automatu. Lufa drgnęła, ale zamilczała. Nikita odetchnął. I wziął następny kwiat.

Szedł tak wzdłuż rzędu tarcz, mówił cicho jakieś głupstwa, coś zupełnie bez sensu, jak słowa, które wypowiada się, żeby uspokoić dziecko. Próbował wysledzić oczy za ciemnymi przyłbicami kasków.

- Proszę, nie strzelajcie. To nie wróg. To ludzie - tacy, jak wy. Nie chcę niczego złego. Nawet jeżeli dostaliście rozkaz, możecie odmówić jego wykonania. Ten rozkaz jest zbrodniczy. Nie strzelajcie. Tam są starcy i dzieci. Niewinni. Jest dziewczyna, kwiaciarka, trafiła tutaj przypadkiem i bardzo chce wrócić do domu. Nie strzelajcie. Przecież zgubicie nie tylko tych ludzi, ale i własne dusze, a tego nie da się naprawić. Nie strzelajcie.

Przy każdym „nie strzelajcie” Nikita wsuwał goździk w kolejną lufę. Czuł, że teraz najważniejsze, to wciąż mówić. Nie przestawać. Więc mówił, mówił, sam już nie wiedząc, co mówi, co chwila tracąc łączność z rzeczywistością i widząc przed sobą białe szpitalne niebo w pajęczynie splekań. I wtedy kwiaty się skończyły. Nikita przystanął.

- Nie strzelajcie! Proszę! - rozłożył szeroko puste ręce, odwrócił się i poszedł w stronę tłumu. Panowała kompletna cisza. I raptem ludzie, wciąż wpatrzyli w Nikitę, zmienili wyraz twarzy. W teże sekundzie Nikita usłyszał za plecami tupot ciężkich butów i poczuł, że plecy pokrywa mu warstwa lodu.

Obejrzał się i zobaczył omonowca z uniesioną przyłbicą. Uśmiechniętego. Zanim zdążył uświadomić sobie, co się stało, barczysty chłopak zamknął go w niedźwiedzich objęciach i oderwał od bruku. Nikita wleciał nad ziemię niczyją i ujrzał zamieszanie w równych dotąd rządach tarcz. Tu to, to tam ludzie rzucali automaty z goździkami i biegli w stronę parlamentu.

Nikitę wniesiono do środka. Tłum przewrócił bramki z wykrywaczami metalu i rozlał się po marmurowych schodach.

Ktoś ciskał portretami prezydenta ze sklepika z pamiątkami dla posłów. Prezydent w szarym garniturze pikował głową w dół tuż za prezydentem w stroju dżudoki, goniony przez prezydenta w objęciach z labradorką Koni... W sekretariacie palono już stosy dokumentów. Młodzież chwyciła się za ręce i wesoło skakała przez ognisko. Ludzie obejmowali się, krzyczeli „Hura!” rzucali w powietrze czapki. Nikicie znowu pociemniało w oczach.

I nagle ze wszystkich szczelin wypęzły upiory. Zdziczałe męty z obleśnymi uśmiezkami wyrzywały klepki parkietu i, podciągając się na

pokrytych sierścią rękach, wlekły do sali posiedzeń cuchnące, martwe ciała.

Z wyciągów i kratek wentylacyjnych sypały się podziemne kaleki, beznodzy żołnierze metra, inwalidzi, wrażliwi w tłum okrwawione kikuty.

Wyleźli na świat boży i zamachali pustymi rękawami, w których nic nie rosnęło, nieludscy i nietutejsi, niegdysiejsi, wywiani z zaświatów, złodowaciami, pokryci parchami śmierci, zarośnięci chwastami niebytu, okaleczeni liszajem nieistnienia. Żalose szczątki ciała i okruchy duszy, która z duszy zmieniała się już w gnilne ciepłko, przerywany, wędzący puls, który łąda chwila wymknie się z palców Mojry.

Byli tam też nie-ludzie. Nieludzie. Nieludscy mieszkańcy podupadłych stacyjek, zarośniętych pajęczyną i łopianem, powołani do życia przypadkowym spojrzaniem pasażera pociągu pospiesznego. Duchy odległych kilometrów, przeglądające się w drżącym świetle latarni na przejazdach kolejowych, gdzie wiecznie pijany typ w zszarganym mundurze odprowadza mijające go składy przekleństwami.

Niemi, z rezygnacją snujący się po wagonach sprzedawcy horoskopów, pozbawieni daru mowy świadkowie rosyjskich przestrzeni, współuczestnicy bezkresu, rozmówcy takich dali i dystansów, że słowa dawno przestały im być potrzebne.

Wszyscy oni, kulejąc i pełzną, ledwie kondensując się w powietrzu, pobrzękując kryształkami żyrandoli, wijąc się na długich czerwonych dywanach, ściągali do płomienia rewolucji. Otoczyli Nikitę, grzejącego dłonie przy ognisku z antyludowych praw, i plując śliną, bełkotali, uderzając czołami o posadzkę:

- Puśćcie nas, puśćcie, puśćcie...

Ogrzać się, ogrzać się, ogrzać...

Nikita przeskoczył płomień i pobiegł, odbijając się od drapieżnych nieczystych rąk, od pajęczyny bezzębego szeptu, od lepkich, pijackich snów Rosji. W biegu obejrzał się i zobaczył, jak armia upiórów płynie w ogień, skwierczy, wzbija się czarnym dymem pod sklepienie i opada miękkim obłokiem popiołu.

A ludzie rozmazywali na policzkach płatki popiołu, poklepywali się po ramionach, obejmowali nawzajem i płakali.

I wtedy pojawiły się staruchy. Przyszły i usiadły rządkiem przy ścianie. Były jak wypalone młyny, jak szkielety przedpotopowych sępów. Staruchy, które szturmowały wiejski sklep w nadziei, że kupią tam na kartki eliksir wiecznej młodości, zdobędą pół kilo czasu, ochłap deficytowej pramaterii.

Te, które zabijały się w kolejce po śledzie. I potem, już po śmierci, ciągle wydrapywały oczy, wylamywały czarne palce sprzedawczyń, ciągnęły ośliszy rybi ogon.

Te, którym nie wybaczone i które nie wybaczyły. Powalone przez paraliż w sławoje na stacji Akułowka, ześlizgujące się w ziemię z zębami wyszczerzonymi ze złości, złości gryzącej własny ogon, pożerające same siebie od głowy po pięty,

z głuchym bulgotem, w gejerach wymiocin, zaplute trującą śliną.

Staruchy przyszły, usiadły pod ścianą i otworzyły usta, ukazując przeredzone zęby w suchych kościach szczęk, jakie często znajduje się w kurhanach.

I wzniosły ku niebu martwe pięści, i lamentowały:

- Oduść nam grzechy, gnido, nie widzisz, że ledwie trzymamy się na nogach, posuń się, stary chuju!

- Daj nam wieczne odpoczywanie - zawodziły, kołysząc do snu wieczną pustkę. - My, stare komunistki, nie znamy Twoich modlitw, więc wysłuchaj naszych wolnych wniosków: niech szcześnie echo, niechaj my szcześnie, jak uczy historia partii i materializm dialektyczny. Amen!

Ale nienawiść przygwałdziła je do ziemi. Staruchy drapały glebę zapuszczonymi jak szable pazurami i nachodziły we śnie swoje wnuki, żeby te paliły świece za spokój ich duszy. I wciąż groziły, pluły złym słowem, napępiały sny smrodem i bezdennym smutkiem. Wnuki budziły się złane zimnym potem, zaplątane w pościeli, po omacku szukały papierosów. A potem długo nie mogły zasnąć.

- Nie! Nie! Nie! - krzyczał Nikita, biegnąc wzdłuż rzędu staruch, grzęznąć w gęstych pokładach zastarzałej złości.

- Nie tak! Nie tak! Nie tak! - poruszał wargami w takt zamierającego rytmu serca, ogłuszony, dławiający się łzami.

Staruchy świdrowały go wiertłami szalonych oczu, rzygały przekleństwami.

- Wybacz! Wybacz! Wybacz! - szeptał bezmyślnie Nikita i nagle dotarło do niego, że znalazł to najważniejsze, precyzyjne słowo.

- Wybacz! Wybacz! Wybacz! - staruchy znikły jedna po drugiej, rozwiewały się, wracało światło dnia, lżej było oddychać.

- Już dobrze, uspokój się - mówił głosem Roszczyna biały obłok i na czołe Nikity robiło się chłodno i mokro.

- Roszczyn! - krzyczał Nikita resztką sił, jakby przedzierał się przez watę. - Modlę się za nich, pomóż, sam nie dam rady, Roszczyn, sam nie zdążę!

Obłok zniknął.

Znowu płynęły mu na spotkanie łańcuchy czarnych staruch. I Nikita każdej mówił słowo, przed którym umykały ich plugawe języki, w które nie składały się nienawistnie zaciśnięte wargi, przywykłe do złorzeczeń.

- Wybacz! Wybacz! Wybacz!

Nikita wrócił do parlamentu. Rozradowani ludzie biegali w różne strony. Skakali przez aksamitne ławy poselskie, a jakiś chłopak z czerwoną opaską na rękawie pędził po brzegach oparć. Ktoś kaszłał do mikrofonu, niepewnie powtarzał „raz--raz-raz” i śmiał się nie wiedzieć z czego.

- Za chwilę przemówi członek pospolitego ruszenia, generał towarzysz, to znaczy towarzysz generał, to znaczy pułkownik Kukoboj!

- Ludu rosyjski! Bracia!...

Pułkownik Kukoboj był w bojowym nastroju i futrzanej czapie. Rękę miał na brudnym temblaku. U jego stóp stała taca z głową Asłana Maschadowa. Nikt nie zwracał na nią uwagi, ludzie słuchali pułkownika. Nikita podszedł bliżej. Raptem głowa otworzyła oczy i powiedziała, trzeźwo patrząc na salę obrad:

- Nie będzie pokoju!

- Nie będzie pokoju! - westchnął młody Czeczen Mowsar, kucając przy tacy.

- Nie będzie pokoju! - powtórzył chorąży Giennadij Umiński, a potem zapalił i podał ogień Mowsarowi.

- Chyba zasnął, idę na papierosa - dobiegł zza kadru głos Roszczyna. Zrozpaczony Nikita usiłował zorientować się w rzeczywistości, namierzyć jakiś punkt oparcia. I wtedy zobaczył Jasię. Była w długiej sukni, na bosaka, z jasnymi, rozpuszczonymi włosami. Nigdy jej takiej nie widział. Nie pamiętał. Nie nosiła sukienek. Jasia była dziwnie spokojna.

Nikita podszedł i machinalnie pogłaskał ją po głowie. Jasia powiedziała ze smutkiem:

- To moja prawdziwa postać. Nigdy jej nie widziałeś. Było bardzo cicho. Nikita mimochodem zauważył, że stoją

w krętym korytarzu z iluminatorami w ścianach i jarzeniówkami na suficie.

„A tamto? Wszyscy ci ludzie? - pomyślał leniwie. - Pewnie znowu straciłem przytomność”.

- Nie straciłeś - „powiedziała Jasia. - To coś znacznie lepszego.

-Co?

- Zaraz zrozumiesz.



I zrozumiał. Nie zwykłą, liniową świadomością. Od razu w całej rozciągłości, w pełni. Nagle poczuł w sobie życie wszystkich ludzi, których znał i o których bał się. I zrozumiał, że nie musi się już bać. Bo wszystko się wypełniło. Połamane losy prostowały karki. Zwichnięte dusze przeżyły się swobodnie. Ci, którzy szukali miłości, odnaleźli miłość. Ci, którzy pragnęli wolności, otrzymali wolność. Nawet nieszczęścia i ból stały się tylko mostami do szczęścia. Były wybaczone.

I ludzie, których kiedyś niemal nie dostrzegał w gęstwinie niepotrzebnych, obcych im ruchów, przystanęli i stali się sobą. Patrzyli na siebie, nie wierząc, że to takie proste, i ciesząc się z odmiany.

Nikita mógł teraz wziąć dowolny los i obejrzeć wszystkie jego detale. Dowiedział się, na przykład, że zmarł ojczym Ali, ten, który molestował ją w dzieciństwie. Że Ala zaskoczyła samą siebie - pojechała na pogrzeb, a potem została w Odessie i pogodziła się z całą liczną rodziną.

Nikita widział, jak Ala stoi na małym, brukowanym placu u wylotu Deribasowskiej i karmi mądre odeskie koty drobnymi rybkami z torebki. Koty wyginają grzbiety, machają ogonami i wytwornie biorą w zęby śliskie kąski. Ala patrzyła na koty i na słońce, i była absolutnie szczęśliwa. W czarnym wnętrzu starej skrzynki pocztowej czekał na nią kolejny list od Aloszy. Pisał, że wkrótce przyjedzie.

Taisia Josifowna, w okularach, czytała gruby zeszyt z pierwszą powieścią Wani. Poprawiała błędy czerwonym długopisem. Wania mamrocząc coś pod nosem i fukając niósł wiadro wody ze studni, stawał je w sieni Taisi Josifowny i siadał na schodkach, żeby trochę pomyśleć. Słońce przypiekało. Ojciec An-driej upewniał się, że nikt nie widzi i biegł w podskokach do obory, wymachując rękami i rycząc na całe gardło piosenkę

o nadchodzącej wiosnie.

Junkier i Grisza siedzieli na oklep na dachu cerkwi i przybijali poszycie. Obserwowali wiosenne pląsy ojca Andrieja

śmiali się, ściskając kolanami rozgrzane arkusze blachy, żeby nie spaść na ziemię.

A dojarka Nastiona, osłaniając dłonią oczy od oślepiającego słońca, patrzyła na nich z ganku biura kolchozu i leniwie rozważała, w którym by tu się zakochać.

Nikita czytał ludzkie losy. Jasia stała obok i cierpliwie czekała. Nikita wciąż nie mógł zrobić tego, co najważniejsze. Złożyć losów w całość. Zszyć wszystkich rosyjskich historii w jedną, wielką Historię. Dokonać syntezy. Zjednoczyć. Ludzkie losy, słowa i czyny rozbiegały się w różne strony, nie było w nich żadnej wspólnej logiki, tylko samowola i chaos.

- Nie w tę stronę myślisz - powiedziała Jasia. - Masz już w głowie rezultat, który chciałbyś osiągnąć. Nic z tego. To nie ten rezultat.

I rzeczywiście, Nikita zobaczył w sobie mapę Rosji, wktą na pamięć ze zszarganych podręczników geografii, wrytą w pamięci ze wszystkimi kolorowymi strefami, obwodami, arteriami linii kolejowych i błękitnymi żyłami rzek. I zrozumiał, że usiłuje wtłoczyć swoją mozaikę właśnie w tę twardą formę. Choć tak naprawdę - tu usłyszał w głowie natarczywy chór głosów - jej granice winny przebiegać całkiem inaczej.

Nikita zdał się na brzęczący w jego głowie chór i wypuścił z rąk przejrzyste kostki lodu. Historie zakotywały się i popłynęły, ścigając się, zderzając, stając dęba.

Nie niósł już w sobie losów przypadkiem napotkanych ludzi. Poczul się lekko i pusto, jakby wiosenny wiatr przewiał go na wskroś na szczycie pagórka, rozmarzniętego od południowej strony.

Wtedy bez najmniejszego wysiłku zobaczył obraz, w który zlały się oddzielne szkice. Płaska mapa ożyła i wciągnęła powietrze w płuca lasów, zaigrała błękitnymi cieniami na śnieżnych polach, zamachała skrzydłami czarnych gawronów, zagwizdała wjeżdżającymi na stacje lokomotywami, zaśmiała się, zadreptała, zaiskrzyła. A potem zmieniła się w obłok nad pobliskim pagórkiem i rozkrzyżowała ogromne ręce. Podpłynęła do Nikity i położyła mu na głowie leciutką dłoń.

Jasia głaskała go po włosach i mówiła:

- Widzisz, jakie to proste. A tak się bałeś.

Nikita uśmiechnął się i nagle poczuł, jak zabliznia się wyłom, wybity przed laty w jego samotności. Jak wypełnia się ciałem. Jasia była obok. Wokół i wewnątrz. Wreszcie prawdziwa. Spełniona. Wiedział, że tak już zostanie.

Leżał na więziennej pryczy i uśmiechał się, jakby znał jakąś tajemnicę. O której nie trzeba mówić. Bo i po co.

WYDAWNICTWO CZARNE S.C.

[www.czarne.com.pl](http://www.czarne.com.pl)

SEKRETARIAT: ul. Kollątaja 14, III p., 38-300 Gorlice tel./fax +48  
18 353 58 93»

e-mail: [arkadiusz@czarne.com.pl](mailto:arkadiusz@czarne.com.pl), [mateusz@czarne.com.pl](mailto:mateusz@czarne.com.pl)

REDAKCJA: Wołowiec ii, 38-307 Sękowa tel./fax +48

18 351 02 78, tel. +48 18 351 00 70 e-mail:

[redakcja@czarne.com.pl](mailto:redakcja@czarne.com.pl)

SEKRETARZ REDAKCJI: [zofia@czarne.com.pl](mailto:zofia@czarne.com.pl)

DZIAŁ PROMOCJI: ul. Andersa 21/56,00-159 Warszawa tel./fax

+48 22 62110 48

e-mail: [agnieszka@czarne.com.pl](mailto:agnieszka@czarne.com.pl), [anna@czarne.com.pl](mailto:anna@czarne.com.pl), [stanislaw@czarne.com.pl](mailto:stanislaw@czarne.com.pl)

DZIAŁ SPRZEDAŻY: Beata Motyl, MTM Firma ul.

Zwrotnicza 6,01-219 Warszawa tel./fax +48 22 632 83 74

e-mail: [mtm-motyl@wp.pl](mailto:mtm-motyl@wp.pl)

Skład: D2D.PL, ul. Morsztynowska 4/7,31-029 Kraków, tel. +48 12 432 08 52

Druk i oprawa: DRUKARNIA READ ME

Wołowiec 2010

Wydanie 1

Ark. wyd. 5,1; ark. druk. 10

